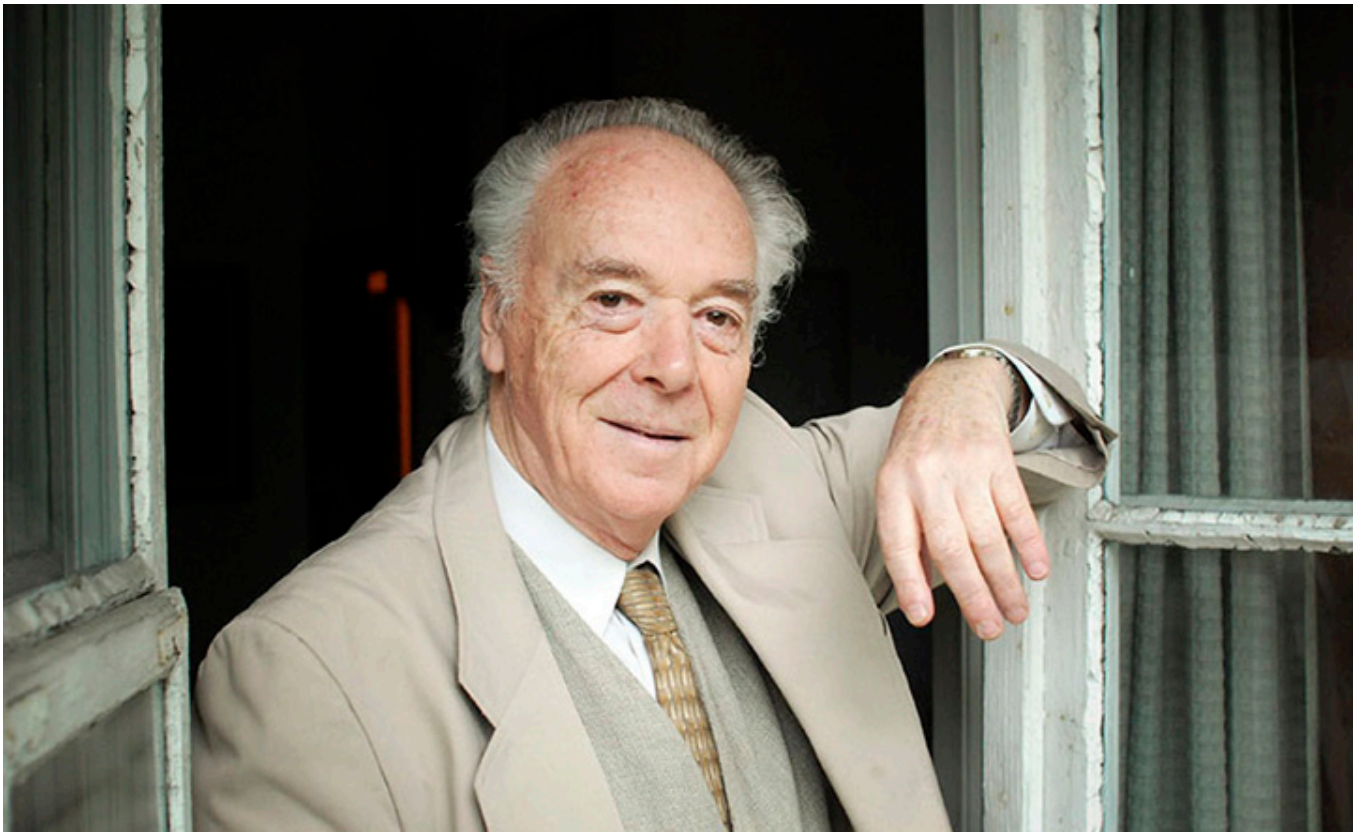
„Duch Atlantydy” Jarosława Abramowa-Newerlego jako odtrutka na stereotypy



Jaroslaw Abramow Newerly w swoim mieszkaniu, 16.05.2007 r., Warszawa, fot. Wlodzimierz Wasyluk

Ewa Bagłaj *(Polska)*

O polskich akcentach w teatrze kanadyjskim pisał w 1987 r. Adam Tomaszewski (Adam Tomaszewski, *Ze sceny i estrady,* Toronto 1987). Długo jednak nie powstał dramat w języku polskim, dający obraz Kraju Klonowego Liścia z perspektywy naszej emigracji. Dopiero *Duch Atlantydy* (1994) Jarosława Abramowa-Newerlego zapełnił tę lukę.

„Dlaczego tak późno? Odpowiedź najprostsza z możliwych: zabrakło talentów i gdyby przypadek sprowadził Gombrowicza nie do Argentyny, do Buenos Aires, ale do Toronto, Montrealu czy Ottawy wynik może byłby podobny. „Gdybanie" takie ma

jednak tę wadę, że właśnie pomija specyfikę miejsca i okoliczności, w jakich przyszło tu żyć Polakom, pisarzom polskim, których na gruncie kanadyjskim spotkała przygoda trudno porównywalna z losem innych emigrantów. Nie jest sprawą tylko talentu, choć z pewnością jest to czynnik niebagatelny, ale przede wszystkim biografii, że szansa jaką dla twórczości stanowił kraj wielokulturowy, kraj dialogu, ojczyzna „dożywotnich emigrantów", wedle dowcipnego określenia Marka Kusiby, otworzyła się tak późno. Ale jednak się otworzyła". (Jerzy Święch, *Pomyślane przelotem…,* s. 36).

Co ciekawe, wątek kanadyjski pojawił się w twórczości Jarosława Abramowa-Newerlego na długo wcześniej, nim pisarz zaczął myśleć o emigracji. Dwadzieścia lat przed swoim wyjazdem w sztuce pt. *Derby w pałacu* wyrzuconemu ze swej posiadłości hrabiemu Dembopolskiemu kazał osiedlić się w stolicy prowincji Ontario.

> Pamiętam, jak błądziłem palcem po mapie Kanady, w której nigdy nie byłem, wahając się między paroma miastami. Najpierw chciałem dać Winnipeg, ale w końcu zwyciężyło Toronto dzięki dźwięczniejszej nazwie (…) później (…) właśnie w tym Toronto wylądowałem. I tak jak mój hrabia w *Derbach w pałacu* poznałem los emigranta. (Jarosław Abramow-Newerly, *„Granica sokoła…",* s. 13).

Los ten poznał nie tylko z autopsji. Bowiem materiał dla sztuki odnalazł on, podobnie jak w omawianych wcześniej książkach *Kładka przez Atlantyk* i *Pan Zdzich w Kanadzie,* pośród „samych swoich”. Akcja rozgrywa się w polskiej dzielnicy Toronto, na ulicy Roncesvalles, którą mieszkańcy nazywają żartobliwie Rączymi Wałami lub Rączą Wólką.

> Na każdego z moich bohaterów składa się co najmniej kilkanaście prototypów-autentyków, których kiedyś spotkałem. Oczywiście wszystkich odpowiednio przemieszałem, z każdego coś biorąc, z siebie również. Musiałem spędzić w Kanadzie osiem lat, wiele samemu zrozumieć, zobaczyć i poznać, aby ten inny świat opisać. (…) Podobnie jak w moich kanadyjskich opowieściach o panu Zdzichu, starałem się zachować wierność faktom. Wprowadziłem wiele autentycznych nazw i nazwisk (…). (Tamże).

Bohaterowie to ludzie różnych narodowości. Większość reprezentuje Polonię, ale jest też Włoch, Indianin, Chińczyk, Żyd i Ukrainiec.

> Chcąc przedstawić barwną mozaikę, jaką jest to miasto, kazałem niektórym postaciom mówić w ich ojczystym języku,

> licząc, że taka »chińszczyzna« wytrzyma próbę sceny. Teatr to nie tylko słowo, ale również gest, dźwięk, rekwizyt, obraz – wszystko to, co tworzy magię sceny. (Tamże).

O tym, jak wielką wagę przywiązuje autor do scenografii świadczą zaskakujące rekwizyty w poprzednich jego sztukach – konie w pałacu, kukły na dworcu, namiot w łaźni, szpital w ogrodzie czy ogromna szafa zamiast drzwi.

> Taka sceneria potrzebna mi była nie dla absurdu zawieszonego w uniwersalnej próżni, ale dla stężenia rzeczywistości. Niecodziennym podkreślałem codzienność. (Tamże).

Odpowiednikiem szafy, z której w *Klik-klaku* wyłaniają się kolejni mężowie Kornelii jest w *Duchu Atlantydy* dawna „buczernia” (sklep mięsny, ang. *butcher* – rzeźnik), a potem magazyn, który bohaterowie przerabiają na Wielokulturowe Centrum Sztuki „Remstar”. Przygotowania do hucznego otwarcia są okazją do spotkań przedstawicieli starej i nowej emigracji zaangażowanych w przedsięwzięcie, którego celem jest „promieniować na inne mniejszości, z których składa się Kanada”. (Tamże, s. 14).

Kontakty między nimi stają się „smutną komedią omyłek,

wzajemnym licytowaniem się w cierpieniach i jakże marnych radościach, klęskach i sukcesach" (Jerzy Święch, op. cit, s. 35), co ma odzwierciedlać stosunki panujące w społeczności Rączych Wałów. Abramow-Newerly nieustannie, choć jak gdyby mimochodem porównuje te dwie emigracje: wcześniejszą prawdziwą, bo „z ducha" z tą ostatnią, która jest nią tylko z nazwy. Młodych łączy wspólna cecha – sprowadziła ich do Kraju Klonowego Liścia wizja Eldorado, chęć zrobienia błyskotliwej kariery na tej ziemi obiecanej. Od nowa powtarzają lekcję, którą starsze pokolenie ma już za sobą. Jak każda kolejna fala emigracji muszą zdobyć doświadczenie na własnej skórze. Pytanie tylko, o co ci nowi, liczący przede wszystkim na życiowy fart, wzbogacą dorobek swych poprzedników? Bowiem w ocenie tych ostatnich wyglądają raczej blado:

„Te nowe po SOLIDARITY na łatwy chleb idą. Nie chce im się tyrać jak nam (…) Chytre są" (Jarosław Abramow-Newerly, *Duch Atlantydy..,* s. 1) – to głos Józefa Rydla. (Skojarzenie z dramatem Wyspiańskiego nie jest przypadkowe. *Duch Atlantydy,* wzorem innych sztuk Abramowa-Newerlego, odsyła do klasyki dawnej *(Dziady, Wesele)* oraz nowszej *(Miazga, Transatlantyk, Ślub).*

Należy on do trzeciego pokolenia osadników; jego pradziad karczował kanadyjską puszczę. Weteran bitwy pod Monte Cassino, ciężką pracą doszedł do obecnego majątku – jest właścicielem sieci sklepów wędliniarskich „Baca Delicatesssen".

Zna cenę, jaką trzeba zapłacić za powodzenie w życiu i ma prawo czuć się pełnoprawnym obywatelem wielokulturowej, zasobnej Kanady, która takim jak on zawdzięcza swoje dzisiejsze oblicze. Do Rydla należy lokal, w którym ma powstać galeria sztuki nowoczesnej. Wynajmuje go polonijnym artystom nieodpłatnie, kierowany żywym sentymentem do kraju przodków. „Remstar Center" ma pomóc uganiającym się za pracą i zyskiem rodakom odzyskać równowagę między przyziemnymi interesami a duchowością:

> (…) musimy to zrobić dla siebie, żeby do reszty nie zbaranieć. (…) Pytasz, kto przyjdzie. My. My przyjdziemy. Do siebie. Wrócimy do normy, oderwiemy się od posadki-posadzki (…) za młotek i przerabiamy tę kiełbasiarnię. To nasza ostatnia szansa. (Tamże, s. 11).

W ten sposób główny inicjator przedsięwzięcia, artysta plastyk Rem, przypomina Kubie, „lingwiście-komparatyście", jakie ideały przywiodły ich wszystkich do Kanady. To pragnienie odnalezienia własnego raju pchnęło ich za ocean. Dla doktora lingwistyki porównawczej jest nim „własna wieża Babel. Wszystkie języki świata", które studiuje… w chwilach wolnych od pracy przy czyszczeniu szpitalnych podłóg. W Polsce nic nie stało na przeszkodzie rozwojowi jego kariery naukowej, zarabiał dodatkowo jako autor tekstów popularnych piosenek. Nie

wyjechał więc z konieczności czy istotnej potrzeby, jak czynili to wcześniej uchodźcy polityczni. Raczej „ucieka od siebie, chce spalić mosty nie z krajem, lecz z ludźmi, z którymi nie potrafił żyć dalej”. (Jerzy Święch, op. cit, s. 35).

Teorie, którymi uzasadnia swoją emigrację, pokazują go jako ofiarę własnych złudzeń. Kiedy otwiera się przed Julią, młodą aktorką o wysokich aspiracjach zawodowych, mówi o swej wierze w „Remstar” i Remigiusza. Chce, by to centrum odegrało w Kanadzie podobną rolę jak „Kultura” Giedroycia w Europie Zachodniej.

> Daję mu szansę. Nawet w tym sklepie. Jeśli nie wielokulturowość i przenikanie, to co? (...) Rzeź? Kolejna jatka? Kocioł bałkański już wrze. (*Duch Atlantydy*, s. 35).

Dziewczyna jednak domyśla się prawdy, z której on sam może nie do końca zdaje sobie sprawę:

> Albo zwiałeś od siebie, albo od żony i udajesz błędnego rycerza. Nowego Don Kichota. Wymachujesz „Kulturą” i wpierasz we mnie, że ty to oni. Rżniesz dziedzica. Oni mieli swój cel, a ty słowniczek, wieżę Babel. NO, MY DEAR. AMERICAN DREAM cię zżera. Ja chcę być gwiazdą, ty nią

> byłeś, ale liczysz na więcej, a Remstar buduje kosmodrom i właśnie ma zamiar odpalić. Taka jest prawda. Nieco upierdliwa, ale uczciwa. Innej nie ma. (Tamże, s. 40).

Julia wie o tym, bo sama – mając w Polsce angaż w najlepszym teatrze – zaryzykowała próbę wybicia się za oceanem. Tymczasem kariera gwiazdy filmowej, o jakiej marzy, oddala się coraz bardziej. Póki co, utalentowana artystka zarabia w reklamówkach, wbita w kostium gąski z wielkim brzuchem-atrapą. Skromna klitka, którą wynajmuje przy dawnej „buczerni" też ma się nijak do amerykańskich standardów. Dlatego Julia nie chodzi na przedstawienia do Jane Mailet Theatre – teatru w centrum Toronto, wynajmowanego na gościnne występy bardziej reprezentacyjnych zespołów przyjeżdżających z Polski.

> Rozleciałabym się. A i przed kolegami wstyd. Julia. *(gest fruwania)* Nie z Szekspira. APARTMENT też niezbyt. Jak na Kanadę. (Tamże, s. 47).

Swój „amerykański sen" od dawna próbuje realizować Remigiusz, a zakładana galeria ma pomóc mu wreszcie zabłysnąć. Przecież po to tu przyjechał.

> Muszę być naj, naj. Wspiąć się na sam szczyt. (Tamże, s. 20).

W nieustannych sprzeczkach z żoną, której w nowej ojczyźnie powodzi się znakomicie, odkąd uzyskała doktorat i otworzyła prywatny gabinet stomatologiczny, wypływa ten sam problem. Ona zarzuca mu, że nie umie przestawić się na rodzaj twórczości, który tu się podoba. Dlatego zamiast błyszczeć, od dziesięciu lat jest na dnie. On wzbrania się przed pójściem na komercję, zarzuca Tamarze zaślepienie dolarami:

> Ona tylko tym mierzy wielkość. *(gest liczenia pieniędzy)* Byle się sprzedawało. A ja nie chcę! Nie zrobisz ze mnie straganiarza! (Tamże, s. 21).

Tamara interpretuje jego rozgoryczenie po swojemu. Odcina się:

> A widzisz, jak to miło. Być dodatkiem. Teraz ty jesteś mężem dentystki. Role się odwróciły na tym kontynencie. (Tamże, s. 18).

Skarży się Kubie:

> On mógł mieć w pracowni modelki, a ja nie mogę mieć w OFISIE nawet kolegi od leczenia przewodowego, bo już krzyk! Taki ścisły nadzór był dobry w PRL, ale nie tu! Tu wolny kraj, kochany! Kobiety są INDEPENDENT. (Tamże).

W rozmowach większość z kilkunastu (aż) postaci dramatu obnaża pustkę, z którą sobie nie radzi. Obiecująca z polskiej perspektywy Kanada, po drugiej stronie Atlantyku okazała się trudnym wyzwaniem. Testem na wytrzymałość w nowych warunkach życia:

> Kanada to sprawdzian. Nikogo nie obchodzi, kim byłeś. Tu jesteś nikim. (…) Musisz zmartwychwstać. Urodzić się po czasie. (Tamże, s. 10).

Szukając swego miejsca w Kraju Klonowego Liścia, bohaterowie przymierzają się wciąż do nowych ról. Powiada Kuba:

> Wszyscy jesteśmy kameleony. Nie wiemy, w jaką skórę wejść. (Tamże, s. 51).

A reprezentacyjna, zawsze modnie ubrana i uczesana Tamara,

stwierdza:

> Tu bez formy ani rusz. CHEESE *(szczerzy zęby w uśmiechu)* To ułatwia życie. (Tamże, s. 25).

Ten obowiązkowy *good looking,* którego esencją jest wieczny uśmiech jak gdyby przyklejony do ust, choć wymaga nieustannej czujności, bardzo ułatwia życie. „Nikt duszy nie wybebesza". (Tamże, s. 51).

Tymczasem każdy z bohaterów nosi w sobie jakąś tajemnicę. Za fasadą samozadowolenia kryją się w ich duszach upiory przeszłości. Przechowane w pamięci, przewieźli je wbrew własnej woli na drugi brzeg oceanu. Bo nie da się uciec od samego siebie. Przekonują się o tym w noc Halloween, kiedy to – paradoksalnie – zostaną zmuszeni do zrzucenia masek. Wyzwolone z ich wnętrza upiory zmienią te niby Zaduszki w torontońskie *Dziady* i *Wesele* zarazem. Lady Simpson, główna fundatorka Centrum Kultury, zaproszona na happening z okazji jego otwarcia, nieoczekiwanie odkrywa przed Kubą twarz jego dawnej kochanki z Polski, Róży. Okazuje się, że nie udało mu się spalić za sobą mostów. Dawna „dziewczyna z majowym bzem", jak określił ją w słowach piosenki, również wyjechała za granicę. By zapomnieć o aborcji, do której niegdyś ją nakłonił. O tym, że Kuba mieszka w Toronto, dowiedziała się przypadkiem.

> Uświadomiłeś mi, że nie da się… *(gest odcięcia)* Coś zostaje. Nawet jak się wyrwie z siebie wszystko. Dosłownie i w przenośni. (…) Zrozumiałam, że coś zostało. Nie pomogły oceany i kontynenty. (Tamże, s. 110).

Wszystko bowiem się na tym świecie łączy. Dokładnie tak, jak w przygotowanym na otwarcie *show*, gdzie w odrealnionym chocholim korowodzie podążają: Ksiądz, Młoda Para, mężczyzna z wózkiem dziecięcym i Sekretarz z Szoferem niosący na barkach trumnę. Marsz weselny miesza się z pogrzebowym, a bohaterowie spektaklu skandują w różnych językach: „Zaślubiny! Narodziny! Śmierć!”

Tytuł dramatu autor świadomie skojarzył z duchem Jałty, do czego przyznaje się w *Słowie od autora:*

> Zauważyłem, że wciąż się snuje dopadając nas w różnych miejscach. Mnie nawiedzał i w Toronto i w San Diego. Tutaj, na tym kontynencie zrozumiałem, że nigdy się od niego nie uwolnię.

Rozumie to również Kuba, któremu ukazał się najpierw duch Stalina, a potem Stalina z Churchilem. Obaj palili fajki i z

uśmiechem „trzymali się przyjaźnie za ręce”.

> Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Toronto, a duch straszy. I Atlantyk nie pomógł. (…)
>
> Bo wszystko się wiąże, o, tak! *(splata ręce jak haki)* Tak, rozumiesz? Nawet jak nam się zdaje, że dawno pogrzebane na dnie oceanu *(podchodzi do pnia i uderza siekierą).* Tylko w rzeźni można coś odciąć. Na amen. W życiu tak nie ma. Niestety. (Tamże, s. 95 i 146).

Słucha tego Julia, która później zrywa męczący i nie dający jej poczucia bezpieczeństwa związek z żonatym Carlem, reżyserem reklamówek. Decyduje się wracać do Polski. Bo Kanada nie zapewni nikomu tego, czego nie potrafi on osiągnąć we własnym kraju, nie wyleczy z kompleksów ani nie rozwiąże zaległych problemów.

Duch Atlantydy, podobnie jak dramat Wyspiańskiego, kończy się patem. W dniu uroczystego otwarcia centrum, dopracowanego w najdrobniejszych szczegółach, organizatorzy uświadamiają sobie z przerażeniem, że nikt nie przyjdzie, bo… w tym czasie hokeiści grają o mistrzostwo Kanady.

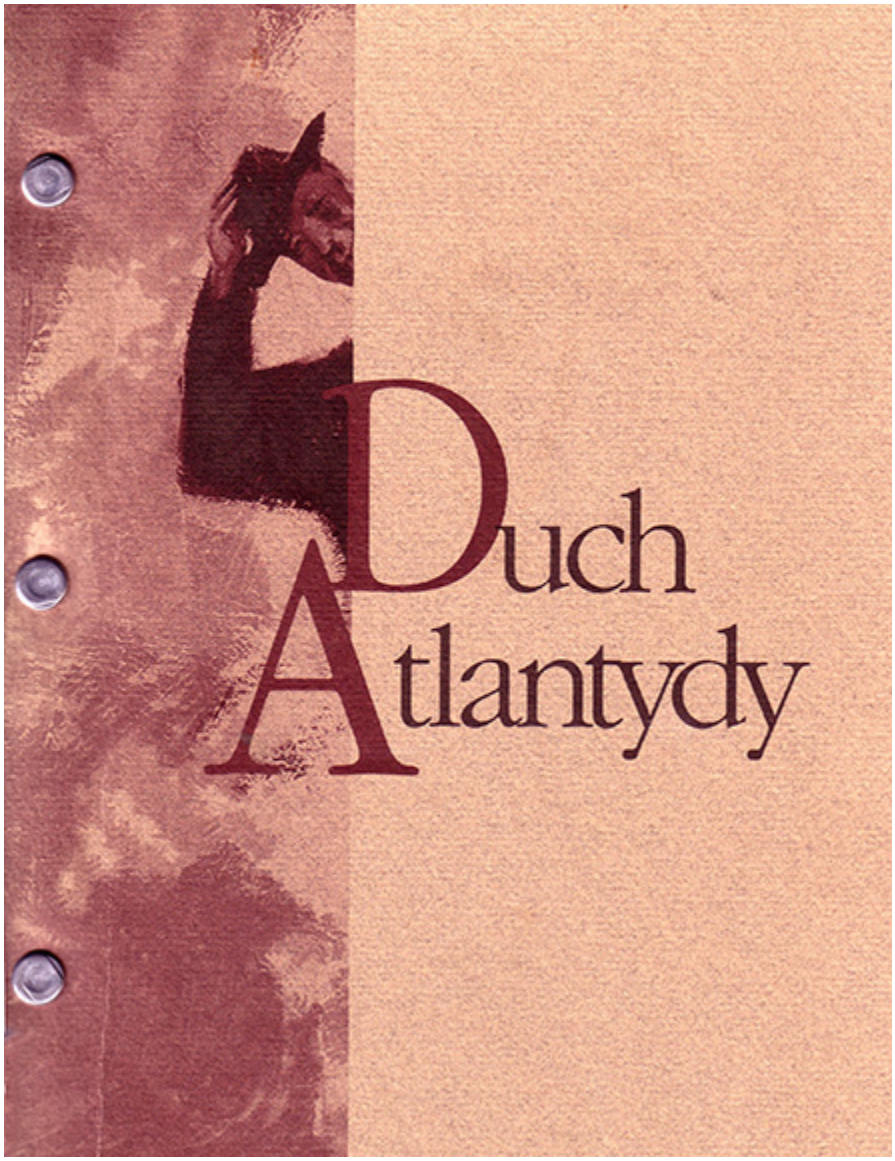
> Okazuje się, że tylko tradycję kiszonych ogórków i kiełbasy da się zachować. Trzeba będzie znów otwierać BUCZERNIĘ – stwierdza z rezygnacją Kuba. (Tamże, s. 152).

Sytuacja wraca więc do punktu wyjścia. Ale czy na pewno nic się nie zmieniło? „My przyjdziemy. Do siebie" – obiecywał Rem. A teraz Rydel, któremu do tej pory posługiwanie się mową ojców przysparzało wiele trudności, poprawia językoznawcę nieskazitelną polszczyzną:

> Sklep mięsny, chciał pan powiedzieć. Wędliniarnię. Po polsku „Delikatesy Baca". (Tamże).

Dzieło Jarosława Abramowa-Newerlego to odtrutka na stereotypy. Choć umieszczenie akcji w konkretnym zakątku Toronto sugestywnie oddaje koloryt lokalny miejsca, nie obraz dzielnicy jest tu celem numer jeden. Sceneria kanadyjskiej metropolii pomaga uzyskać prawdę i realizm przedstawionego świata. Tak jak w innych swoich utworach, wzorem Wańkowicza pisarz stawia w centrum zainteresowania to, co polskie. Wartość *Ducha Atlantydy* tkwi przede wszystkim, jak zauważa Jerzy Święch, w kataraktycznej funkcji, która polega na „wyzwoleniu się z okowów polskości, jak – *sit comparare licet* – w

Transatlantyku Gombrowicza”. (Jerzy Święch, op. cit, s. 36).



Jarosław Abramow-Newerly, Duch Atlantydy, sztuka w dwóch częściach, Teatr Polskiego Radia, premiera 28 października 2005 r., reż Waldemar Modestowicz, wystąpili m.in. Zbigniew

Zamachowski i Wiesław Michnikowski.

Kraków kultowych knajp



„Free Pub”, Kraków, fot. „Free Pub”.

Andrzej Kaczmarczyk *(Kraków)*

Gdzie w Krakowie – kulturalnej stolicy Polski – wypada bywać? Wielu turystów układając plan pobytu pod Wawelem w oparciu o oficjalne przewodniki wpisuje do niego Wierzynek, Jamę Michalika czy Piwnicę pod Baranami. Krakowscy „bywalcy" śmieją się, gdy słyszą te nazwy.

W „Wierzynku" (sprywatyzowanym) bywają już chyba tylko urzędnicy samorządowi i wojewódzcy, a i to tylko przy okazji oficjalnych kolacji dla zamiejscowych gości" – mówi Jacek Płaza, krakowski dziennikarz radiowy i telewizyjny, który zna chyba połowę krakowskich barmanów. W „Michaliku" byłem tylko raz. Prawie dwadzieścia lat temu przyjechał ktoś z Poznania i uparł się, że musi zobaczyć legendarny lokal „Zielonego Balonika". Z Piwnicą jest inaczej. W części Piwnicy, gdzie występuje Kabaret, dalej można spotkać starych i nowych fanów. Jednak część barowa, która skutecznie przykuwała bywalców jeszcze w latach 80., po „odzyskaniu niepodległości" zmieniła klientów.

Grono Piwniczan i ich przyjaciół najprędzej można spotkać na płycie Rynku w kawiarni „Vis a Vis" zwanej „Zwisem". Przed lokalem stoi, a właściwie siedzi, figura Piotra Skrzyneckiego, z codziennie nową wiązanką kwiatów. Przy stoliku obok przez

wiele lat zasiadał Jan Nowicki i pisał listy do Piotra drukowane w lokalnej gazecie. „Zwis” słynie z najtańszego piwa w Rynku i nieco siermiężnego wystroju. Ten *image* i fakt, że zdarza się tam czasami czysto męska klientela, był przyczyną pytania jednego z turystów: „czy to jest lokal dla homoseksualistów?”. „Wręcz przeciwnie” – miała odpowiedzieć zdziwiona pani Zosia, kelnerka i symbol tego cenionego przybytku.



Kawiarnia „Vis a Vis”, fot. wikipedia



Kawiarnia „Vis a Vis”, fot. Andrzej Barabasz (wikipedia)

W Krakowie bywa się w knajpach i to najlepiej kultowych. Knajpa to dość nieostre określenie. Raczej trzeba to poczuć niż zrozumieć. „Zwis” jest knajpą. Kawiarnia „Grandu” knajpą nie jest. Knajpami nie są restauracje i lokale hotelowe. Knajpy w Krakowie są od siebie odległe „o rzut beretką”, albo jeszcze bliżej. Poza tym nie każda knajpa jest kultowa. Ze „Zwisu” można „rzucić beretką” na Sławkowską 4 do „Free Pubu”. Adres trzeba znać, bo „Free” to jedno z licznych miejsc w Krakowie, które nie ma żadnego szyldu. Taki sygnał, że trzeba wiedzieć, gdzie trzeba bywać. W tej klasie „Free Pub” był chyba pierwszy. Jej

współwłaściciel to Artur „Baron” Więcek znany jako współscenarzysta telewizyjnej *Filozofii po góralsku*, *Rozmów na koniec wieku* oraz filmu *Anioł w Krakowie*. Mroczna i niezbyt elegancka, ale uznana za kultową, knajpa miała być przeznaczona dla aktorów i dziennikarzy. I rzeczywiście, młode pokolenie tychże tam bywa. Krążą plotki o erotycznych ekscesach podczas całonocnych zabaw, ale nie sposób znaleźć naocznych świadków. Gwarantuje jednak, że tańce na stołach mają miejsce, a śpiewająca aktorka Marta Bizoń w stroju i peruce a la Marylin Monroe stojąc na barze śpiewała dla Barona *Happy Birthday*.

Znowu krótki „rzut beretką” i jesteśmy w Zaułku niewiernego Tomasza. Lokale są tu trzy, ale knajpa jedna – „Dym”. Podobno nazwa pochodzi od tytułu filmu, ale jest też teoria, że raczej od ilości tytoniowego dymu. Wnętrze jest tak zagracone, że aż dziwne, iż mieszczą się tu jeszcze klienci. Tymczasem jest tak jak twierdzi *City Magazine*: „Trudno stwierdzić, co ma w sobie to miejsce, że przyciąga takie tłumy”. Może to przypadek, ale byłem tam świadkiem pobicia światowego rekordu w ilości dziennikarzy i literatów zebranych w jednym czasie i miejscu usiłujących pożyczyć od siebie nawzajem pieniądze.

Teraz mały spacerek na coraz piękniejszy krakowski Kazimierz. Omijamy ul. Szeroką przeznaczoną raczej dla turystów i kierujemy się od razu w stronę Placu Nowego, o którym w

Krakowie nikt nie powie inaczej niż Plac Żydowski. Jeżeli to dzień powszedni, to na tym ciągle czynnym placu targowym można, w towarzystwie przekupek i pod gołym niebem, zjeść najsłynniejsze w mieście flaki. Szukać ich należy w poaustryjackim „okrąglaku" na środku targowiska. Na rogu Estery (legendarnej kochanki Kazimierza Wielkiego) pub „Singer", pierwszy kultowy na Kazimierzu. Jak zwykle, kto nie wie gdzie, ten nie znajdzie. Nazwa w sam raz, bo za stoliki służą maszyny do szycia marki Singer. Oprócz tego w ostatniej salce przez pewien czas stało łóżko!? Do niedawna było to ulubione miejsce studentów Szkoły Teatralnej, pomimo tego, że szkoła i akademik są raczej z drugiej strony miasta. Kto zostanie tu do rana usłyszy rzadkie już w milionowym mieście odgłosy budzącego się do życia targu. (W niedzielne przedpołudnie to największy dom towarowy pod chmurką z używanymi ciuchami).



„Miasto Krakoff", Kraków

Po drugiej stronie placu „Alchemia”. Choć kultowa to łatwo trafić, bo wyjątkowo ma szyld z nazwą. Miejsce miało być magiczne i udało się. Nic dziwnego, że właśnie tu krakowscy poeci wręczali sobie ostatnio nagrody. Czarodziejski i nieco dekadencki lokal z wielką skrzydlatą rzeźbą przy wejściu, widokiem na małomiasteczkowy ryneczek i wielką szafą, która okazuje się być nie zwyczajnym meblem, ale (jak w teatrze Jarockiego czy Kantora) przejściem do drugiej, ukrytej części knajpki. Kto będzie miał dość czarów i chce czegoś aż nazbyt realnego powinien szybko wrócić do centrum na Łobzowską do „Miasta Krakoff”. To jedna z ciekawszych knajp o charakterze klubowym. Na ścianach krakowski pop art. Telewizory bez ekranów, ale za to z niespodziewaną zawartością. Z równym powodzeniem można tu trafić, na koncert techno, festiwal Audio Art, bal rosyjski, spektakl „Kontrabasisty” w języku niemieckim czy też Czesława Miłosza wręczającego swoje nagrody dla młodych zdolnych. Podobno, gdy poinformowano noblistę, że znalazł się w bardzo popularnym klubie młodzieżowym, mistrz podniósł głowę rozejrzał się i powiedział: „aha”.

Artykuł był publikowany w „Liście oceaniczny” – dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto.

Andrzej Kaczmarczyk, aktor, dziennikarz, urodzony w Krakowie. Absolwent krakowskiej Szkoły Teatralnej. Po przygodach z teatrem STU, Ludowym i offowym Teatrem Mandala, zmienił zawód na dziennikarski. Związany z Polskim Radiem Kraków. Jego artykuły i felietony publikowane są w „Czasie Krakowskim", „Życiu", „Nowym Państwie" oraz w „Tygodniku Powszechnym".

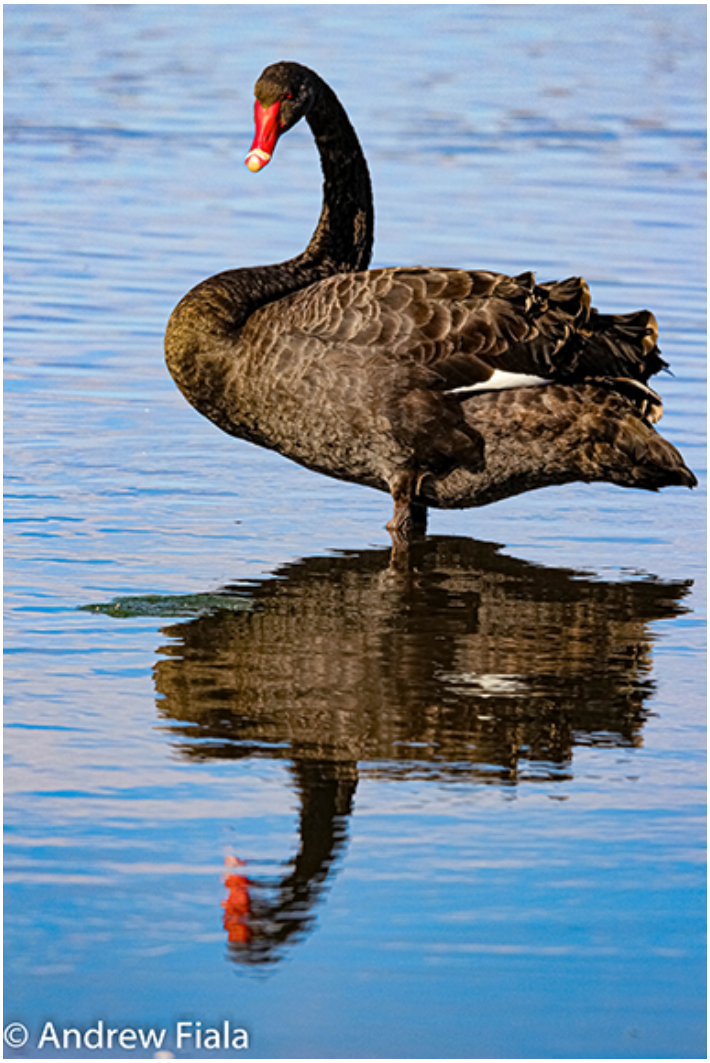
Ptaki Australii w obiektywie Andrzeja Fiali



Włodzimierz Puchalski – nestor polskiej fotografii przyrodniczej, ukuł w latach 70. ubiegłego wieku termin „bezkrwawe łowy”. Termin ten niezwykle pasuje do fenomenalnych fotografii australijskiej fauny autorstwa Andrzeja Fiali. On też potrafi godzinami „polować”, żeby uchwycić wyjątkowy, niezwykły moment i utrwalić go swoim aparatem fotograficznym. W kontekście ostatnich, apokaliptycznych pożarów w Australii, zdjęcia te mogą stać się niepowtarzalnym źródłem wiedzy o tym egzotycznym i barwnym australijskim świecie.

Redakcja


© Andrew Fiala



Andrzej (Andrew) Fiala przybył do Australii jako dziecko w latach 80. wraz z rodzicami. Jest samoukiem i lubi kroczyć własną drogą także w sztuce. Czasowo studiował sztukę i fotografię na australijskim TAFE (odpowiednik zawodowych studiów). Jego pasją jest fotografowanie zwierząt, potrafi godzinami czatować na właściwy moment w lokalnym ZOO w Perth w Zachodniej Australii. Tworzy też ciekawe pół abstrakcyjne kompozycje z liści, wykorzystując odpowiednie, ciągle zmieniające się światło, a także układa indywidualne, ekspresyjne fotomontaże (używając figurek zwierzęcych), bogate

pod względem kompozycyjnym i kolorystycznym. Ma zdolności językowe, świetnie zna język angielski, pisze w tym języku piękne eseje. Zna także język polski. Jego fotografie i art można znaleźć na Andrew Fiala FB.

O Andrzeju Fiali w magazynie „Culture Avenue”:

https://www.cultureave.com/australijskie-piekno-na-fotografiach-andrzeja-fiali/

https://www.cultureave.com/australijscy-tworcy-na-wystawie-w-lublinie/

https://www.cultureave.com/polscy-artysci-z-australii-anna-adam-i-andrzej-fiala/

Galeria


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala


© Andrew Fiala



Rozmowy wewnętrzne.

O czterech „Dialogach” Floriana Śmieji.



Londyn na starej pocztówce

Bożena Szałasta-Rogowska *(Uniwersytet Śląski, Katowice)*

> Znienawidziłem słowo „powrót”. Człowiek nigdy nie wraca. Nie powinien wracać, jeśli chce żyć, jeśli chce kroczyć ku nowemu. To co było, jest kulą u nogi. Nie chciałem dłużej być niewolnikiem, niewolnikiem nawet własnej ojczyzny (D I)[2]

– odważnie stwierdza Bolek – główny bohater czterech *Dialogów* Floriana Śmieji.**[1]**

Przytoczona wypowiedź nie jest jednak tylko z ducha futurystyczną deklaracją zerwania z przeszłością, ale przede wszystkim jest świadectwem decyzji podjętej przez młodego emigranta, dowodem wyboru życiowej i społecznej postawy, śladem buntu wobec zastanej sytuacji. I w tym miejscu jesteśmy już tylko o krok od dyskusji pokoleniowej, która toczyła się w środowisku polskiej emigracji w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Oczywiście o sporze „młodych” ze „starymi” na emigracji w Londynie napisano już wiele[3]. Wiemy też, że jednym z uczestników tej polemiki był Florian Śmieja. Jeżeli więc chcemy uzyskać pełniejszy obraz tej pokoleniowej „wymiany zdań” oraz dorobku literackiego autora *Bezroku*, koniecznością jest dopowiedzenie jeszcze paru słów do interesującego nas zagadnienia.

Florian Śmieja najchętniej wypowiada swe poglądy wierszem, ale poezja to tylko jedno, choć zapewne najważniejsze, skrzydło jego twórczości. Warto więc zatrzymać się na chwilę nad czterema wczesnymi, stanowiącymi jedną całość *Dialogami* Floriana Śmieji. Dwa z nich zostały opublikowane na łamach „Kontynentów – Nowego Merkuriusza" i „Kontynentów" w latach sześćdziesiątych[4], a dwa przeleżały prawie czterdzieści lat w szufladzie autora[5]. Data powstania *Dialogów* przypada z jednej strony na „gorący", dezintegracyjny okres dla redakcji „Kontynentów – Nowego Merkuriusza"[6] i grupy poetyckiej z tym pismem związanej[7], z drugiej zaś na „wystudzony okres" rozczarowania po niespełnionych oczekiwaniach Października 56' w Polsce. Na pewno więc data ta usprawiedliwia często emocjonalny osąd rzeczywistości i ekspresywne wypowiedzi bohaterów, ale jednocześnie zaskakuje obiektywizmem, kiedy okazuje się, że osobiście uwikłanych w sytuację, tkwiących wewnątrz „zwężonej społeczności"[8], bohaterów stać na samokrytykę.

Florian Śmieja podobnie jak pozostali członkowie grupy poetyckiej „Kontynenty" zdecydowanie odciął się od „postskamandryckiego kanonu poezji zaangażowanej w sprawy podzielonego przez wyroki Jałty narodu"[9], nigdy podobnie jak bohater wiersza *Na śmierć poety* nie chodził „z możnymi/ pod rączkę"[10], nie odpowiadały mu skostniałe poglądy „niezłomnych", których tak krytycznie oceniał, zawsze pogardzał

patriotyzmem na pokaz[11].

Bohaterami czterech *Dialogów* Śmieji są emigranci: Bolek – młody, egzaltowany poeta, wokół osoby, którego zogniskowana jest „akcja", Teresa – kobieta, w której Bolek jest zakochany, Janusz – jego rówieśnik i rywal, stryj Stanisław – przywódca emigracyjnego środowiska, przeciwko któremu buntuje się Bolek, Irena – jego kochanka i Zygmunt – mąż Ireny. Wszyscy oni, co wynika z przywoływanych w czasie rozmów nazw własnych („gminy Tamiza i Kensington"), nie ma bowiem prawie w ogóle tekstu pobocznego, mieszkają w Londynie. I na tym w zasadzie kończą się informacje dotyczące bohaterów. Nie wiemy niczego o ich wieku, wyglądzie, zawodach, zainteresowaniach. Tylko język[12] i rodzaj wypowiedzi charakteryzują tu bohaterów. Nie jest to jednak wada tekstu. Nie mamy bowiem do czynienia z utworem dramatyczno-scenicznym, ale z dialogami, które mają skupić naszą uwagę na wewnętrznych problemach polskiego środowiska w Londynie. A ta swoista niekonkretność postaci podkreśla wręcz uniwersalizm zaprezentowanych postaw.

Przedmiotem analizy w *Dialogach* jest szeroko pojęta postawa życiowa. Rozmówcy mają odmienne poglądy na temat wyboru drogi, którą chcą podążać i którą powinna kierować się polska emigracja. W tej kwestii wypowiedzi Bolka dominują nad deklaracjami pozostałych bohaterów, a jego cięte i ironiczne

repliki często stanowią autonomiczną część znaczeniową. W zasadzie bohaterowie nie słuchają się wzajemnie, a raczej „wygłaszają" swoje racje, nie przyjmując argumentów drugiej strony. Dlatego nie może dojść między nimi do porozumienia i dlatego w ostatecznym rozrachunku wszyscy, a nie tylko Bolek, ponoszą klęskę…

Bolek – to młody poeta, arogancki samotnik i rozczarowany emigrant, który kiedyś „wierzył ślepo każdemu sloganowi", a teraz pragnie mówić własnym głosem. W *Dialogach* obserwujemy swoistą, bo pozorną, przemianę Bolka. Wiemy, że pragnie on zmian, że nie odpowiada mu środowisko, któremu przewodzi Stanisław, że kiedyś zbuntował się i poruszył „całą zasiedziałą emigracyjną socjetę", obraził „najszacowniejsze persony" i postrącał „posagi z postumentów" (D III). Dziś, jak sam przyznaje, jest „zupełnie zagubiony", szuka nowej drogi, bo stara naznaczona minimalizmem i praktycznym realizmem mu zupełnie nie odpowiada. Głośno oświadcza, że „szuka idei"! Ostatecznie okazuje się jednak, że najważniejsze i najsilniejsze w tej „idei" są jej deklaracje…

Najdłuższy spośród czterech dialogów Śmieji *Dialog pierwszy* to w zasadzie rozmowa dwojga kochanków: Bolka i Teresy. Ale rozmowa ta jedynie na pierwszy rzut oka wydaje się być konwersacją pary zakochanych, którzy borykają się z problemami emocjonalnymi. Bolek zadurzony w Teresie, ma do

niej pretensje o ciągłą obecność w ich życiu tajemniczego stryja, „szacownego obywatela jeszcze sprzed wojny". Dziewczyna broni się, próbując zbagatelizować zarzuty, „atakując" złośliwymi ripostami typu: „Powiedziałam, co wiedziałam" i wymieniając zasługi stryja, dzięki któremu poznała Bolka. Szybko jednak okazuje się, że frustracja Bolka wypływa z poważniejszego źródła. Bolek jest rozczarowany i, co chyba najważniejsze, zdezorientowany. Przyznaje, że kiedyś wierzył starej emigracji, ale okres ten wspomina dziś bez nostalgii. Mówi o ciężarze minionej sytuacji („To straszna rzecz czuć fałsz, a nie umieć go nazwać i wyzwolić spod świadomości" DI), o rozdarciu towarzyszącemu wyzwalaniu się z więzów prostacko pojętej tradycji, o specyficznych „wyrzutach sumienia" („Byłem w głębokiej rozterce. Coraz wyraźniej widziałem, że nie ślepa wiara, ale powątpiewanie są motorem życia." D I), o braku odwagi cywilnej („Co miałem robić? Powiedzieć otwarcie, co o tym wszystkim myślałem? Że dusiłem się w ckliwym religianctwie, że nie byłem ani taki dobry, aby kwalifikować się do ich grona, ani na tyle bezczelny, aby wodzić za nos duchowych opiekunów" D I). W rozmowie z Teresą wspomina nawet:

> Dzień, w którym napisałem ów list do redakcji, pamiętam jak dziś. W obozie było nie do wytrzymania. Dusiłem się wśród ciągłych wizyt komisji i przedstawicieli, którzy nas lustrowali

> i badali, segregowali i wychwytywali, co przydatniejsze ochłapy, zgodnie z instrukcjami swoich mocodawców. Chciałem drapnąć na koniec świata, pragnąłem się znaleźć gdzieś, gdzie nikt nie słyszał o ojczyźnie, o odbudowie ze zgliszczy, o obowiązku. (...) Wtedy umarła moja matka. Jej śmierć była dla mnie wielkim wydarzeniem. Byłem wolny. Skończyły się moje kłopoty emigracyjne. Wiedziałem, że jak tylko zniknie zastrzeżenie „chora matka", świat stanie otworem dla mnie (DI).

Słowa Bolka szokują śmiałością zwerbalizowanego egoizmu, niewdzięczności, nienawiści... I chyba wywołanie wstrząsu było założeniem autora! Postawa Bolka miała być, eufemistycznie rzecz ujmując, niekonwencjonalna, aby wywołać oburzenie czytelnika i w ten sposób zwrócić jego uwagę przede wszystkim na sytuację młodych emigrantów. Bolek stwierdza przecież:

> Śmierć matki przyszła w sam raz. Co tu dużo ukrywać. Zacząłem ją nienawidzić za to, że żyła, że była mi przeszkodą zagradzającą drogę do zwyczajnego, ludzkiego życia (DI).

Bohater w efektowny więc sposób wykrzykuje swoje prawo do samodzielności, buntuje się nie tylko przeciwko więzom rodzinnym, ale też pętom ojczyzny i patriotycznego obowiązku.

Oświadcza Teresie: „Chce być sobą, słyszysz? Mam dość ciągłego prowadzenia za rączkę. Czy nie mam prawa iść, gdzie mnie nogi poniosą? Nawet na swoją zgubę?” (DI).

Bolek to indywidualista i buntownik, który sarkastycznie charakteryzuje emigracyjne społeczeństwo:

> Wyobrażam sobie nudę w towarzystwie obywateli szarmancko nadskakujących przy stole i cykających delikatne słóweczka z gestami pozłacanymi sygnetem. Dziękuję ci najmocniej. Do towarzystwa pogrzebowego za życia zapisywać się nie mam najmniejszej ochoty. (…) Zejdzie się kupa ważniaków, opycha się kiełbasą i sałatą, kropi wódkę prawiąc bezustannie o obowiązku, o wiernym trwaniu (DI).

Podobne opinie o duchowej kondycji emigracji pojawiają się też w poezji Floriana Śmieji. W *Poemacie dydaktycznym* ironia towarzyszy wypowiedzi „chóru starców”:

> Drogi są śliskie
>
> drogi dalekie

> najlepiej nie szukać
>
> dobrze przeczekać
>
> bo znaki na niebie
>
> bo tętent na błoniu.
>
>
> Zbudujemy na skraju kapliczkę
>
> zapalimy każdemu świeczkę
>
> aby było przytulnie
>
> aby było jak w domu
>
> aby w świateł migocie
>
> każdy chodził jak w złocie[13]

natomiast w *Morituri* sarkazmowi akompaniuje już żal i rozczarowanie:

Tak wychodzą co tydzień

wysypują się z nawy polonezem

ciężkim posuwistym (lata robią swoje)

co niedzielę ich widzę

jak wynurzają się z murów

po alarmie może

po ćwiczeniach LOPP.

Smutkiem powlókł ich twarze

kaznodzieja

jak węglem rysownik

pokrywający drapieżnie biel.

przybiła ich rutyna

> i to ciągłe wołanie: wilk, wilk
>
> kiedy nic nie grozi
>
> kiedy już wszystko stracone
>
> gdy do gardła skacze
>
> spokój nieba bez chmurki
>
> gdy targa za serce
>
> każdy pąk na wiosnę
>
> i ptaka świergot poranny.[14]

Charakterystyka społeczeństwa londyńskiego wyłaniająca się z tych tekstów jest więc gorzka i ironiczna. Krytyczną opinię o „starej emigracji” podzielają też pozostali kontynentczycy[15], ale Śmieja w *Dialogach* poszedł jeszcze o krok dalej, bowiem Bolek nie pozostawia suchej nitki nawet na własnych rówieśnikach. Ocenia ich następująco:

> Boicie się refleksji, uciekacie od zadumy i dociekania.

> Szczęśliwcy: kolorowy sznur, blaszki i świecidełka na piersi i gablotki na ramieniu zupełnie wam wystarczają. No, cóż, może i macie rację, że zamiast ślęczeć nad książkami i roztrząsać w sumieniu metafizyczne dylematy, lepiej gzić się w rubasznych harcach i masowymi pieśniami zagłuszać niepokój serca(D II).

Bolek nie nazywa całej społeczności emigracyjnej oportunistami, nie przebiera jednak w słowach, nie boi się spojrzeć krytycznie na swoje pokolenie. Mówi z pobłażaniem:

> To byli po prostu biedni, zagubieni młodzi, za słabi, aby stanąć na własnych zasadach. Chowali się za parawanami wygodnie im podstawionymi przez różnych zawodowych katolików.

Z rozmowy Bolka i stryja Stanisława z *Dialogu czwartego* wyłania się obraz emigracji wewnętrznie skłóconej. Widzimy tu prezesów „gmin" dbających tylko o swoje prywatne interesy i ludzi, „którzy robią majątki na tęsknocie emigrantów". Bolek piętnuje emigrację, dzieląc ją na „zawodową", czyli „tych, którzy żyją ze swej polskości" i „amatorską". Do grupy pierwszej zalicza polityków, propagatorów, dziennikarzy, radiowców, łączników, doradców, szpicli oraz różnych płatnych powierników i prezesów,

do drugiej natomiast „zwykłych ludzi dopłacających do swej polskości, co się trudzą nieefektowną pracą” (D IV). Zaś sam o sobie mówi, że jest „ozdrowieńcem ze skłonnościami do zapadania na dawną chorobę”.

Bolek krytykuje też duchowieństwo, które uzurpuje sobie prawo do ingerowania w politykę:

> Sprawy społeczne to także ich domena. Lubią fotografować się z luminarzami zawodowymi działaczami, imponują im wciąż jeszcze możni tego świata, lubią się otaczać wielbicielami i pochlebcami. A niechby tylko kto zapomniał o ich oficjalnych tytułach.

Nie jest ateistą, chce jednak oddzielenia rzeczowej dyskusji i obiektywnego osądu sytuacji, a nie zamykania wszystkich

> dyskusji sakramentalnym „Opatrzność to jakoś załatwi” czy „Miłosierdzie Boskie wszystko to wyjaśnia” i tkwienia w obłudzie w imię podtrzymywania „mitu naszej złotej katolickiej młodzieży”.

Bolek krytykuje wąskie „wychowywanie młodych na

przyzwoitych Polaków”, twierdzi, że to tresura i kształtowanie „kołchoźników bogoojczyznianych, a nie wartościowych jednostek”, sam jest po stronie wychowania przez wskazywanie celu nie prowadzenie za rączkę, które odbiera „wizję nieskażoną”. Teraz pyta w zasadzie samego siebie:

> A co mam teraz? Różne emigracyjne mętliki w głowie, służby, trwania, straże. Ki diabeł pomieszał nam mózgi. Tam umysły zniewolone, a tu ogłupiane z kretesem (DIV).

Oskarżeniom jakby nie było końca… Ale kiedy Janusz – zwolennik Stryja, pyta go wprost, dlaczego nie działa, rozmowa przebiega następująco:

> – Więc na co czekasz?
>
> – Na siebie.
>
> – A przyjdziesz to wnet?
>
> – Kto wie, może prędzej niżbyście sobie tego życzyli. (…) Gdyby pewna wróżka zechciała przebudzić mnie z niedobrego snu. (D II)

Później okazuje się jednak, że Bolek przegrywa z Januszem starcie o względy Teresy i wtedy legną w gruzach wszystkie zadeklarowane ideały. Wychodzi na jaw, że Bolek to pozer i tchórz… A może tylko głęboko rozczarowany, odrzucony przez kobietę, we własnym mniemaniu niezasługujący na jej miłość, samotny młody człowiek, który sam o sobie mówi, że jest „reumatykiem emigracji" (D II)?

Niewątpliwie Bolek to antyspołecznik, pozujący na intelektualistę, krytykujący wszystko i wszystkich, domagający się zgodności czynów i słów, potępiający obłudę katolików, którzy spowiadają się dwukrotnie raz u „swojego" księdza raz u angielskiego, piętnujący „niezdrową atmosferę, nieszczerość i zakłamanie", którym towarzyszą „podniosłe referaty i uduchowione wypowiedzi". Tak więc Bolek ochoczo deklaruje zrywanie różnych pęt („Trzeba zedrzeć maskę ogłady i tak zwanego dobrego wychowania"), kiedy jednak powinien był wprowadzić w życie swoje idee, stchórzył!

W *Dialogu pierwszym* jakby sam przepowiadał już swoją klęskę „Wiem, że wy wszyscy myślicie, że jestem niezdolny do jakiegokolwiek czynu" (DI). Werbalnie walczy z obłudą, a po chwili sam okazuje się, jak stwierdza Irena, „tchórzem podszyty", wmanewrowany w macki mieszczańskiej kultury, którą tak bardzo krytykował. Boi się, że jego romans z mężatką wyjdzie na jaw i że o jego niewierności dowie się Teresa. Okazuje się tak

samo „śliski”, jak Ci których wcześniej krytykował. Nie chcąc skandalu, błaga: „Ireno, na miłość Boską, idź już stąd. Stryj może wrócić lada moment!” (D III). Prawdziwa natura Bolka ujawnia się, kiedy Irena oświadcza mu, że jest z nim w ciąży. Jest to wymysł Ireny, która chce podstępnie „sprawdzić” miłość męża i kochanka. I wtedy okazuje się, że obaj nie zdają egzaminu. Irena chcąc związać się z Bolkiem, aby byli „biczem na zadufanych w sobie kołtunów”, jeszcze nie dostrzega, że on jest jednym z nich. Bolek zasłania się miłością do Teresy, wmawia sobie i Irenie, że tylko Teresa może poprowadzić go „ku jakiejś bardziej ludzkiej przyszłości” (D III), nie chce już walczyć, bo tak jest wygodniej. Stwierdza „W imię czego mam walczyć? Jeśli nie ma, co postawić w miejsce świątka na rozdrożu, to usuwanie go jest bezprawiem i podłym chuligaństwem” (D III). Zdesperowana Irena wykrzykuje w uniesieniu „Żegnaj, tchórzu!” Czy to właściwa ocena?

Ostatnia „scena” *Dialogów* to triumf drobnomieszczaństwa i stuprocentowej dulszczyzny… Stryj, komentując zaistniałą sytuację, stwierdza „(…) nie wolno brudów prać publicznie. Każdy dom ma swój śmietnik, ale gości doń nie prowadzimy” (D IV), Bolek na propozycję Zygmunta, aby dla dobra dziecka ożenił się z Ireną, odpowiada „Ja? No, wiesz… ja przecież nie mam nawet stałej pracy… Jak ja utrzymam żonę i dziecko. Jestem zupełnie nieprzygotowany…” (DIV), po czym wychodzi, uciekając od obowiązków i odpowiedzialności. Po jego odejściu zapanuje znowu spokój, będzie „Życie jak dawniej” – jak kwituje zajście

Zygmunt.

Czy mamy więc do czynienia ze współczesną *Krótką rozprawą między trzema osobami, Panem, Wójtem a Plebanem* Mikołaja Reja[16], *Nierządem Polska stoi* Wacława Potockiego, czy *Monachomachią* Ignacego Krasickiego? Przykłady literatury nawołującej do poprawy obyczajów, karcącej i ostrzegającej przed prywatą można w tym miejscu mnożyć. Niewątpliwie wszystkie te porównania w jakimś przynajmniej minimalnym sensie są prawdziwe, bo Śmieja krytykuje, ironizuje, pokazuje konsekwencje trwania w marazmie, ale na pewno zabiera też głos w dyskusji pokoleniowej. Nie pisze jednak zwykłej polemiki, bowiem nie tylko nie gloryfikuje młodych, ale oskarża i jednych i drugich. Sądzę, że ta odwaga powiedzenia wprost, że młodzi też nie byli bez winy, że początkowo imponowało im środowisko, później, ponieważ ośmielili się mieć inne poglądy, zostali wyrzuceni poza jego nawias, że nie zawsze potrafili sprostać wyznaczonym przez siebie celom, była w momencie publikacji *Dialogów* nowatorska. Śmieja stara się wskazać przyczyny konfliktu pokoleniowego, krytykuje obie strony, jest dosadny i nawet przesadny. Czasem jednak dopiero hiperbola może zostać zauważona…

Dialogi Floriana Śmieji bez wątpienia wpisują się w polemikę generacyjną, ale są też świadectwem rozterek, lęków, porażek i odważnych deklaracji, wysiłków wybrania właściwej drogi,

odnalezienia siebie w skomplikowanej, powojennej rzeczywistości.

---

[1] Na prośbę autora konsekwentnie stosuję taką pisownię Jego nazwiska.

[2] Będę używać w tym artykule następujących skrótów: *Dialog pierwszy* DI, *Dialog drugi* DII, *Dialog trzeci* DIII i *Dialog czwarty* DIV.

[3] Por. Z. Andres: *„Obraz własnego losu". O „Kontynentach" i londyńskiej grupie poetów*. [W:] *Poetycki krąg „Kontynentów". Artykuły i szkice*. Red. Z. Andres, J. Wolski. Rzeszów 1997, s. 9-35; M. Kisiel: *Bunt i satyra. Poeci z Kontynentów wobec fantazmatów polskości – zarys*. [W:] *Mity, stereotypy, konwencje*. Prace ofiarowane Włodzimierzowi Wójcikowi. Red. B. Gutkowska, M. Kisiel, E. Tutaj. Katowice 1995, s. 72-90; P. Kądziela: *O publicystyce londyńskich „Kontynentów"*. [W:] *Myśl polityczna na wygnaniu. Publicyści i politycy polskiej emigracji powojennej*. Red. A. Firszke. Warszawa 1995, s. 193-203.

[4] Dwa pierwsze *Dialogi* zostały opublikowane w odwrotnej

kolejności. *Dialog drugi* ukazał się w „Kontynentach – Nowym Merkuriuszu" w roku 1960 (nr 17, s. 9-11), a *Dialog pierwszy* w „Kontynentach" w 1962 (nr 39, s. 1-3).

[5] Składam w tym miejscu serdeczne podziękowania Autorowi za udostępnienie mi dwóch nigdy niepublikowanych *Dialogów*.

[6] Zob. m.in. R. Moczkodan: *Od „Życia Akademickiego" do „Kontynentów" – historia pism*. [W:] Tegoż: *„Życie Akademickie" – „Kontynenty" 1949 – 1966. Bibliografia zawartości*. Toruń 2001, s. 9-31.

[7] Zob. M. Kisiel: *Bunt i satyra…*, s. 77.

[8] Zob. J. Wittlin: *Blaski i nędze wygnania*. [W:] Tegoż: *Pisma pośmiertne i inne eseje*. Wybór, opracowanie i przedmowa J. Zieliński. Warszawa 1991, s. 326.

[9] M. Pytasz: *„Zatajam ściśle znak okaleczenia". O wierszach Floriana Śmiei*. [W:] F. Śmieja: *Wiersze wybrane*. Wybór, wstęp i oprac. M. Pytasz. Katowice 1998, s. 82.

[10] F. Śmieja: *Na śmierć poety*. [W:] Tegoż: *Wiersze wybrane…*, s. 18.

[11] Zob. np. takie wiersze Floriana Śmieji jak: *Niezłomny*,

Patrioci, Polski Sierpień.

[12] Język *Dialogów* charakteryzuje przemieszanie różnych odmian. Spotkamy tu kolokwializmy („drapnąć na koniec świata”, „wybił sobie z głowy” „stara bieda”), wulgaryzmy („Żeby go raz jasne licho”, „Psiakrew! Kogo akurat teraz licho niesie”), egzaltowane wyrażenia, które możemy zaliczyć do stylu wysokiego („niepokój serca”, „Jestem głęboko przeświadczony, że dochodzą nawet ci, którzy kresu nie osiągają”), pojawiają się też bardzo często obrazowe pointy typu: „Wy chcecie młodzieniaszka sadzać przed deserem, bo obiad już za niego ktoś zjadł”, „Nie ten, co kusi jest winny, ale ten, co słucha”.

[13] F. Śmieja: *Poemat dydaktyczny*. [W:] *Ryby na piasku. Antologia wierszy poetów „londyńskich”*. Oprac. i red. A. Czerniawski, wstęp J. Przyboś. Londyn 1965, s. 243.

[14] F. Śmieja: *Morituri*. [W:] Tegoż: *Wiersze wybrane…*, s. 20.

[15] Szczegółowo omówił ten problem Marian Kisiel w przywoływanym już szkicu *Bunt i satyra. Poeci z Kontynentów wobec fantazmatów polskości – zarys*.

[16] W *Dialogach* pojawiają się swego rodzaju scenki rodzajowe, jak na przykład historia „panny z kokiem”, spodziewającej się nieślubnego dziecka i z tego powodu wydalonej „poza nawias”

społeczeństwa przez ludzi, którzy się „przedtem przed nią krygowali” czy Irlandki Betty, która wstąpiła do klasztoru.

Śmierć w luksusowym hotelu

„Halka” Stanisława Moniuszki w Theater an der Wien



Alexey Tikhomirov (Stolnik), Arnold Schoenberg Chor , fot. Monika Rittershaus

Jolanta Łada-Zielke *(Hamburg)*

Ukoronowaniem Roku Moniuszkowskiego 2019 było wystawienie opery *„Halka”* w Theater an der Wien, pod dyrekcją Łukasza Borowicza i w reżyserii Mariusza Trelińskiego. Projekt zrealizowano w ramach kooprodukcji z Operą Narodową w Warszawie. Jego pomysłodawcą i koordynatorem był Piotr Beczała, który pracował nad nim przez ostatnie osiem lat, a w przedstawieniu wykonał partię Jontka. Obok niego wystąpili Corinne Winters jako Halka (w jednym z przedstawień zastąpiona przez Ewę Vesin), Tomasz Konieczny (Janusz), Natalia Kawałek (Zofia), Aleksiej Tikomirow (Stolnik), Łukasz Jakobski (Dziemba) i Sreten Manojlović (Dudziarz). Na scenie

wystąpił także Chór im. Arnolda Schönberga i zespół tancerzy Opery Narodowej z Warszawy. Śpiewakom towarzyszyła Radiowa Orkiestra Symfoniczna ORF z Wiednia.

Na scenie Theater an der Wien zagrano „Halkę“ sześć razy, w okresie 15 do 31 grudnia 2019. Bilety na premierę rozeszły się błyskawicznie jeszcze w lipcu, ale kolejne przedstawienia też cieszyły się dużym zainteresowaniem miejscowej, polskiej i zagranicznej publiczności. W *foyer* słychać było rozmowy w języku niemieckim, polskim i angielskim.



Tomasz Konieczny (Janusz), Arnold Schoenberg Chor, fot. Monika Rittershaus



Corinne Winters (Halka), fot. Monika Rittershaus

Reżyser przeniósł czas akcji w lata siedemdziesiąte, a na miejsce rozgrywających się wydarzeń wybrał hotel, którego dyrektorem jest Dziemba. W czasach gierkowskich zatrzymywali się w polskich hotelach bogaci prywaciarze, albo dewizowcy. Na taką postać wykreowany został Stolnik, który właśnie tutaj urządza przyjęcie zaręczynowe swojej córki. Jest wyniosły, arogancki i traktuje z góry personel, w który wcielili się członkowie chóru. Zofia, która w pierwszym momencie wywołuje skojarzenie z Paris Hilton, okazuje się później kobietą zdolną do współczucia. Mocny i wyrazisty głos Natali Kawałek kontrastuje z wizerunkiem rozpieszczonej „córeczki tatusia”. Ona i jej druhny ubrane są

zgodnie z ówczesną modą; spodnie-dzwony, krótkie, obcisłe sukienki, buty na koturnach. Okazuje się, że można w takich zatańczyć przynajmniej kilka początkowych taktów mazura, pod koniec pierwszego aktu. Najpierw młoda para, a następnie tancerze zaczynają mazura tradycyjnie, w trójdzielnym rytmie i z akcentem na raz, a po kilku taktach zaczynają „wygibasy" jak na współczesnej dyskotece. W strojach większości bohaterów – zarówno gości weselnych jak i obsługi hotelowej – dominuje tonacja czarno-biała. Nawet Górale tańczący zbójnickiego w drugiej części spektaklu mają czarno-białe stroje. Jedynie tytułowa bohaterka, która pracuje w hotelu jako jedna z pokojówek, pojawia się we wspomnieniach Janusza w seksownej, zielonej… halce. Jej przyjaciel z dzieciństwa – Jontek jest jednym z kelnerów. Wprowadzenie sceny obrotowej w niektórych fragmentach umożliwia widzom zajrzenie zarówno na salę balową, jak i do kuchni, na zaplecze oraz do pokoju, w którym zatrzymał się Janusz. Zabieg ten nadaje akcji podobne tempo jak w filmowej wersji „Wesela" Wyspiańskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy.



Piotr Beczała (Jontek), Corinne Winters (Halka), Tomasz Konieczny (Janusz), Arnold Schoenberg Chor, fot. Monika Rittershaus



Piotr Beczała (Jontek), Tomasz Konieczny (Janusz), fot. Monika Rittershaus

Niemieckojęzyczni recenzenci porównywnali początek spektaklu do popularnego cyklu filmów kryminalnych *„Tatort”* ***[1]***, emitowanych w pierwszym programie niemieckiej telewizji po niedzielnych wiadomościach. Przedstawienie zaczyna się w kompletnej ciszy. Janusz budzi się w pokoju hotelowym i z przerażeniem dostrzega ekipę dochodzeniową kręcącą się po obejściu. Na jednym ze stołów w sali balowej, gdzie poprzedniego dnia odbywało się wesele, leży martwe ciało topielicy, nad którym pochyla się lekarz sądowy. Treść opery pokazana została jako retrospekcja zachodząca w umyśle bohatera, ciąg wydarzeń poprzedzających tragiczny koniec.

Centralną postacią tej inscenizacji jest Janusz. W interpretacji Tomasza Koniecznego odbiega on od wizerunku bogatego panicza, który w cyniczny sposób uwiódł i porzucił wiejską dziewczynę. To człowiek nieszczęśliwy, który nie przewidział konsekwencji swojego lekkomyślnego postępowania i popełniony błąd właśnie mści się na nim. Z jednej strony Janusz chce pozbyć się Halki, której obecność zagraża jego intratnemu małżeństwu; z drugiej tęskni za tą dziewczyną, która potrafi kochać aż do samounicestwienia. Impreza zaręczynowa i samo wesele zakłócane są przez dobiegające z zewnątrz odgłosy burzy, która obrazuje burzę uczuć w sercu Janusza. Wciska Jontkowi do ręki banknoty, żeby zabrał stąd Halkę, a kiedy oboje opowiadają o całym zajściu w kuchni, obserwuje ich przez szybę. Narodziny nieślubnego dziecka Halki Treliński zamienił na poronienie. Widząc pokrwawioną dziewczynę leżącą na stole w kuchni, Janusz ucieka. Potem wraca, ale nie zastaje już nikogo, ponieważ Jontek zdążył zabrać stamtąd Halkę i zatrzeć ślady całego zajścia. Janusz płacze z rozpaczy i z bezsilności; jest to bardzo poruszająca scena.



Piotr Beczała (Jontek) , fot. Monika Rittershaus

Wzruszający jest także Piotr Beczała wykonujący arię „Szumią jodły na gór szczycie”. Łzy w oczach miały nawet panie nie znające języka polskiego, które musiały co chwilę zerkać na niemieckie tłumaczenie libretta, pojawiające się na tablicy świetlnej.

Miałam okazję obejrzeć akurat to przedstawienie, w którym Halkę zaśpiewała polska sopranistka Ewa Vesin. Przyleciała do Wiednia w zastępstwie za chorą Corinne Winters, na dwie godziny przed rozpoczęciem spektaklu. Na szczęście znała inscenizację Trelińskiego, ponieważ będzie śpiewać Halkę od lutego 2020 roku w Teatrze Wielkim w Warszawie, w ramach

kontynuacji projektu i brała już udział w próbach. Poruszała się pewnie w scenografii Borisa Kudlički, ale starała się jak najczęściej utrzymać kontakt wzrokowy z dyrygentem. Podczas sceny miłosnej z Januszem zerkała zza obejmujących ją ramion Koniecznego w kierunku Łukasza Borowicza. Mistrzowsko wykonała partię Halki, pokazując aktorsko i wokalnie jej przemianę z zakochanej i rozmarzonej dziewczyny w „kobietę po przejściach", której obłąkanie jest jak najbardziej uzasadnione. Jej ostatnia, „pożegnalna" aria, kiedy przebacza Januszowi i postanawia odejść, również wywołała łzy u części widowni. Właściwie wszyscy soliści zaprezentowali się od najlepszej strony, obojętnie czy mieli do zaśpiewania większe partie, czy też tylko jedną frazę, jak na przykład Dudziarz. Publiczność nagrodziła ich burzliwymi i długimi brawami.

Tak zainscenizowaną „Halkę" można odnieść też do czasów współczesnych, nie tylko do lat siedemdziesiątych. Tylko jeden szczegół wskazuje na tamtą epokę; niektórzy z bohaterów „palą" papierosy w pomieszczeniach publicznych, co dzisiaj jest zabronione.



Ensemble Tänzerinnen & Tänzer , fot. Monika Rittershaus



Corinne Winters (Halka), fot. Monika Rittershaus

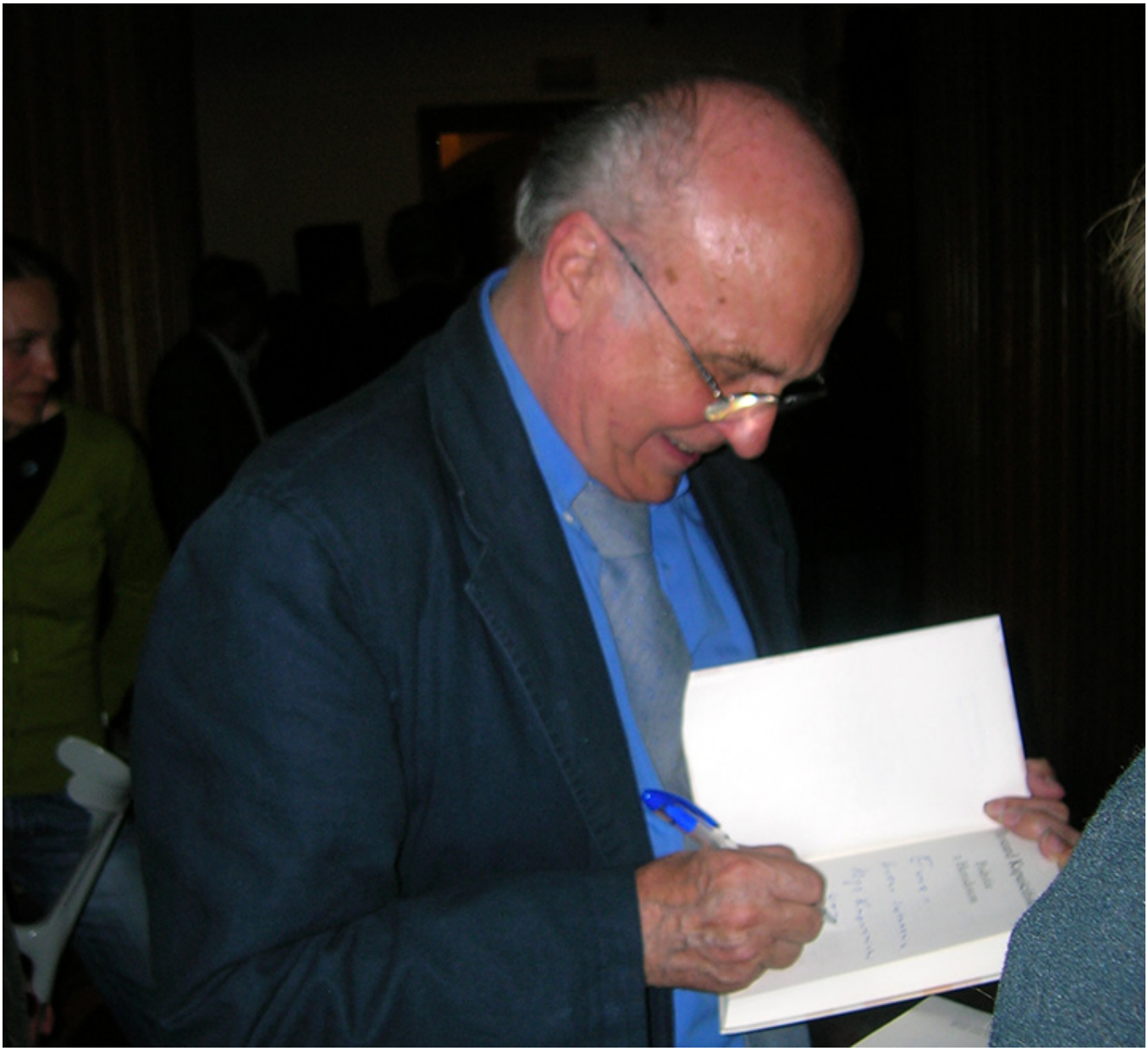
Myślę, że powinno być więcej projektów z polską muzyką operową, realizowanych w międzynarodowej obsadzie, które przyczyniają się do szerszego rozpropagowania naszej kultury muzycznej. Zagraniczni artyści, zaangażowani w polskie przedsięwzięcia artystyczne, stają się ambasadorami polskiej sztuki w swoich środowiskach. Stanisław Moniuszko grywany jest rzadziej za granicą niż jego słowiańscy koledzy, jak Janáček, Smetana, Dvořák i Czajkowski. Dzięki wiedeńskiej realizacji *„Halki”* twórca polskiej opery narodowej stał się bardziej znany na międzynarodowej scenie.

---

[1] „Tatort” oznacza dosłownie po niemiecku „miejsce przestępstwa”.

Odłożona rozmowa

o Polesiu i Kresach



Ryszard Kapuściński w Domu Literatury w Warszawie, 2 października 2006 r., fot. R. Mieczkowski

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Widziałem Go ostatni raz 2 października 2006 r. w Domu Literatury, na Krakowskim Przedmieściu, w Warszawie. Podczas wieczoru poetyckiego. Siedzieli we trójkę na scenie, w wypełnionej, rzadko ostatnio, po brzegi sali. W środku – Julia Hartwig, bohaterka spotkania, która miała cykl spotkań z okazji swego 85-lecia. Obok – jej przyjaciele – Ewa Lipska, pełna optymizmu i witalności, która zagaiła ten wieczór, zaś po lewej stronie pani Hartwig – właśnie Kapuściński. Mówił cichym, bardzo spokojnym głosem, o wątkach reporterskich w jej twórczości, uśmiechając się pogodnie.

Po spotkaniu miał pełne ręce roboty – co rusz podchodzono do Niego po autografy. Każdy chciał z Nim zamienić choć parę słów, zrobić razem zdjęcie. Był na topie – jego kandydaturę zgłoszono do Nagrody Nobla, dyskutowano półgłosem o szansach dla kolejnego Polaka. Odczekałem aż będzie wolniejszy i zapytałem pisarza:

– Kiedy Pan znajdzie trochę czasu na tę naszą rozmowę, która ciągle się odkłada?

Odpowiedział, że dłuższa to może być rozmowa. Że więcej czasu raczej będzie chyba miał już po powrocie z Ameryki, dokąd ma wyruszyć z wykładami na Uniwersytecie Columbia… Zapewnił mnie, że na pewno da mi znać, że musi się zastanowić co do terminu, że również chce ze mną porozmawiać.

A miała to być szczególna rozmowa. Od dawna chciałem bowiem porozmawiać z Mistrzem Reportażu. Nie o szerokim świecie, dalekich krajach i zaskakujących puentach w postrzeganiu *innego* obok, nawet nie o tajemnicy bycia poetą – co o rodowodach Jego rodziny, o Polesiu, którego czar do dzisiaj żyje we wspomnieniach ludzi stamtąd się wywodzących, o Pińsku. Chciałem pokazać mu zdjęcia z Jego rodzinnego miasta i Polesia, wykonane przez Zofię Chomętowską. Pierwsze pochodzą z roku 1916, inne z lat dwudziestych. Dotarły one do mnie okrężną drogą, zwycięsko pokonując czas i wszystkie niedogodności losu aż z Argentyny. Przysłał mi je w darze, jako redaktorowi, piszącemu o ludziach z dawnych Kresów, Antoni Koelichen, z życzeniem, abym w odległych czasowo i bliższych terytorialnie praźródłach ojcowizny przybliżył sobie tamte strony, przysłał mi te unikalne zdjęcia z przekonaniem, że zostawia je „w pewnych rękach".

Chciałem zapytać Kapuścińskiego o Jego przedwojenne dzieciństwo, o pierwsze kroki człowieka z Kresów w Polsce. O tym, czym ta kraina jest dla Niego dzisiaj. Tak się stało, że o tym znacznie mniej wiemy – wątki, pozornie monotonne i mniej ciekawe dla większości Jego rozmówców, niczym błota, mokradła i rozlewiska Polesia, zostały przyćmione dalekimi podróżami reportera i Jego rozważaniami nad pojęciem etyki i tolerancji w dzisiejszym świecie.

Miała to więc być rozmowa rodaków ze Wschodu, których łączy osobliwa nić porozumienia, jak stwierdził Pan Ryszard. Dla mnie – uczta słuchania, dowiedzenia się wielu istotnych rzeczy, poznanie Kapuścińskiego z tej, mało eksponowanej strony.

Sławnego reportera poznałem w dość dziwnych okolicznościach. *Pierestrojka* weszła u nas w swą burzliwą fazę przemian. Na Litwie zaczynało na dobre wrzeć. W 1989 roku zawitał do Wilna Ryszard Kapuściński. Nie wiem, w jaki sposób odnalazł mój telefon i kto Mu go dał, w każdym razie zadzwonił do mieszkania na Karolinkach, gdzie wówczas mieszkaliśmy, i poprosił o spotkanie. Po chwili przybył, chyba taksówką, razem z Piotrem Ikonowiczem. Już na wstępie dostałem ofertę współpracy z PAP, co więcej, Kapuściński wręczył mi coś w rodzaju akredytacji czy legitymacji, po polsku i po angielsku, dokument z odpowiednią pieczęcią, co pozostało gdzieś w papierach, ale już w innym mieszkaniu.

Ale moje losy tak ułożyły się, że i z tej oferty, jak i z wcześniejszej oferty robienia doktoratu W Instytucie Kulturoznawstwa we Wrocławiu, u prof. Stanisława Pietraszki, wyszły nici – z początku byłem zaangażowany mocno w działalność pierwszej po wojnie społecznej organizacji polskiej, której byłem współzałożycielem, wiele czasu wymagała praca w telewizji, gdzie prowadziłem magazyn cotygodniowy, owładnęła też mną redaktorska pasja przy wydawaniu „Znad Wilii”, pełna na

tamtym etapie niepewności i trudnych zakrętów. Tym niemniej wysłałem jakieś informacje pod wskazany adres.

Znajomość odnowiła się na początku roku 2005, po tym, jak spotkaliśmy się w Warszawie, podczas wręczenia nagród przez redakcję „Rzeczpospolitej".

– Śledziłem w ciągu lat pana działalność – powiedział wtedy podczas przyjęcia. – Jak się panu powodzi?

Zamiast opowiadać, dałem Mu numer kwartalnika „Znad Wilii", jaki miałem ze sobą.

Po pewnym czasie otrzymałem list, datowany 13 marca 2005 roku. Znany reporter i poeta pisał:

> Drogi Panie Romualdzie,
>
> Było mi przyjemnie spotkać Pana na uroczystości wręczenia Nagrody Dariusza Fikusa i chociaż przez chwilę z Panem porozmawiać. Dziękuję za ofiarowany mi 4 numer kwartalnika „Znad Wilii". Jestem pełen podziwu, uznania i szacunku dla tego, co Pan i Pańscy współpracownicy robicie na Litwie, zachowując tak wysoki poziom pisarski i informacyjny.

> Życzę Panu wszystkiego najlepszego i załączam szczere, przyjacielskie pozdrowienia.

Odpisałem na ten list. I właśnie wtedy zaczęła kiełkować chęć dłuższej rozmowy, chęć słuchania tego niezwykłego człowieka. Potem spotykaliśmy się przy okazji wieczorów literackich, m.in. w warszawskim Klubie Księgarza, w Muzeum Adama Mickiewicza.

Ryszard Kapuściński odezwał się, jak mówił przy okazji ostatniego spotkania. W ostatnim e-mailu, datowanym 28 października 2005 roku, ubolewał, że na razie nie możemy się spotkać, bo intensywnie pracuje nad kolejną książką – *Lapidarium VI,* zaś spotkania i rozmowy Go bardzo rozpraszają. Prosił o wyrozumiałość, wyrażając nadzieję, że takie spotkanie na pewno się odbędzie…

Polacy w Petersburgu

II Światowe Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju, Pułtusk 2019 r. Materiały z konferencji.



Jerzy Downar w czasie swojego wystąpienia podczas Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju w Pułtusku, we wrześniu 2019 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Jerzy Downar *(Petersburg, Rosja)*

Według Dostojewskiego Petersburg to „miasto umyślne”. Ma cztery wymiary, czwarty to kropka na mapie, czyli dążenie do nieskończoności. Bycie (życie) w Petersburgu toczy się nad przepaścią, poręcze schodów zawisają nad przepaścią matematyczną, bo miasto to matematyczne, bo miasto to widmo, które swoich mieszkańców zamienia w widma. Północna Palmira to Palmira „widemna”, to „widemne” miasto.

Na przełomie wieków XIX i XX nad Petersburgiem zauważono „przedpotopowe pociemnienie obłoków” i „zaśmiertelną” symbolikę, z czym łączono nowy kosmiczny rytm i tworzenie nowej kosmologii oraz kosmogonii. Według niej kosmiczny pejzaż Petersburga składa się z mgły, cieni i chaosu. To wszystko przydaje jemu złudę i nierealność. Tak odczuwał i przyjmował to miasto na początku XX wieku Andrzej Biały w swojej wybitnej powieści „Petersburg”. A dalej narzekał na to, że nadchodząca materialnie-mechanistyczna kultura przeszkadza nam odbierać to miasto i miejsce w jakim się znajduje, w taki sam sposób jak postrzegali je jego mieszkańcy w dalekiej przeszłości.

W 1300 roku Szwedzi wybudowali tu miasto i nazwali je Landskrona. W 1301 roku najeźdźcy z Republiki Nowogrodzkiej pod dowództwem księcia Andrzeja, syna Aleksandra Newskiego, zburzyli je i do szczętu spalili. W 1348 roku szwedzki król Magnus zajął wyspę Brzozową, ale nie na długo, po czym w ujściu Newy zaczęły pojawiać się rosyjskie osiedla. Ci co byli na prawym brzegu Newy, należeli do Spasko-Gorodeńskiego „pogostu”, Orzechowskiego powiatu, na lewym brzegu – do Nikolsko-Iżorskiego „pogostu”, Nowogrodzkiego powiatu. Największa liczba osiedli znajdowała się nad rzeką Ochta i należała do noworodzkiego posadnika (urzędnika książęcego, red.) Timofieja Jewstafjewicza Gruzowa. Współczesna Piotrogradska Storona, była wówczas wyspą o nazwie Fominowa, posiadała pięć wiosek, a w nich trzydzieści dwa dziedzińce i była

przydzielona do gminy Łachta, za właściciela której uważano namiestnika miasta Orzeszka. Wyspa Wasylewska była wtedy własnością dwóch posadników Samsonowa i Wjazgunowa. Miejscowość wzdłuż lewego brzegu Newy, na przeciwko wyspy Fominoj (dzisiejsza Admirałtiejskaja część miała nazwę Fominego końca). Na miejscu dzisiejszej Alekxandro-Newskiej Ławry znajdowała się wioska o czterech dziedzińcach i nazywała się Wichrowo-Fiedorkowo. Na lewym brzegu wyspy Jełagina była wioska Spaskoje, a dalej na miejscu obecnej Staroj Dierewni myza (budynek lub grupa zabudowań należących do jednej rodziny, red.) Ustinowa, koło Letniego Ogrodu myza Pierwuszyna, na Fontance – Usadnica itd. W sumie myz i wiosek było około czterdziestu. Pobierano podatki do skarbu posadników, najpierw płacono sigami, piwem i lnem, a przez jakiś okres czasu pieniędzmi. W 1593 roku na tych ziemiach przeprowadzony był tak zwany „obysk” (spis, red), w rezultacie czego okazało się, że mieszkańcy tych wiosek strasznie biedują, ale żadnych kroków mogących zmienić sytuację, nie podjęto.



Grawiura: St. Petersburg i Newa 1753. Valeriani Joseph i Machaew Michaił Iwanowicz, fot. wikipedia

W 1583 roku Szwedzi ponownie próbowali zawładnąć ujściem rzeki Newy i wznieść nową fortecę, lecz bezskutecznie. Rosjanie trzymali w rękach tę miejscowość aż do nastąpienia tzw. „smutnogo wremienia", kiedy to Szwedom udało się założyć w ujściu rzeki Ochta miasto Nien, a na przeciwległym brzegu – twierdzę Nienszanc. 1 maja 1703 roku Rosjanie opanowali tę twierdzę, a 6 maja Piotr I odniósł zwycięstwo nad Szwedami koło obecnego Jekatierinhofa, biorąc jako trofea dwa wojskowe statki. To było pierwsze morskie zwycięstwo Rosjan. Piotr I kazał upamiętnić to wydarzenie medalem z napisem „niebywajemoje bywajet" i był tak pewien tego, że jest niezwyciężony, że 29 czerwca nad brzegiem Newy założył miasto, które nazwał Sankt-Petersburgiem. Będąc wielkim reformatorem postanowił połączyć w tym mieście Rosję z Europą, Wschód z Zachodem, Europę z Azją. Niestety sojusz ten nie dał oczekiwanych rezultatów, oprócz rozwoju cywilizacji, który ujawnił się tylko i wyłącznie w zewnętrznych stronach życia i w przeobrażeniu Rosji w „śpiącą piękność". Pozostał bardzo duży kontrast

pomiędzy Zachodem a Wschodem. Syntezy osiągnąć się nie udało i nie ma jej do dziś.

Tym niemniej przez wiele dziesiątek, jak nie setek lat istniała tutaj liczna polska społeczność. Oblicza się, że od 1703 roku, od kiedy Piotr I założył miasto, do 1914 roku przeszło przez nie ok. 250 tys. Polaków. Właściwie losy Polaków wiązały się z wieloma krajami i miastami. Różne były ku temu przesłanki i siły napędowe. Polacy docierali wszędzie, jednak w czasie długich lat rozbiorów, kierunek północno-wschodni okazywał się jednym z najbardziej uczęszczanych. Jego docelowym punktem był Sankt-Petersburg, od 1712 roku stolica olbrzymiego imperium rosyjskiego. Początkowo przyjeżdżali tu Polacy w sprawach urzędowych, potem ci, którzy mieli do załatwienia własne sprawy majątkowe, jak i ci którzy chcieli się wzbogacić. Potem zaczęli przyjeżdżać uczeni, literaci, kompozytorzy, ludzie teatru, fachowcy z branż technicznych. Mieszkali tutaj wybitni polscy politycy, ludzie intelektu i pióra, uczyli się przyszli lekarze, inżynierowie, mistrzowie sztuk plastycznych.W Petersburgu przebywał najwybitniejszy z polskich wieszczy narodowych Adam Mickiewicz.

Przybywało wielu obywateli średnich klas, ale jeszcze liczniejsze masy biedaków, tysiące bezimiennych robotników, wyrobników, służby domowe, uciekające z Polski przed nędza. Były też, niestety, bezdomne dzieci podrzucane najczęściej u bram

kościołów. Ale była również i piękna działalność charytatywna (przytułki, warsztaty, ochronki), zasługujące na najwyższy szacunek i uznanie.

Jedni przyjeżdżali do Petersburga po wielką radość życia i karierę, drudzy po chleb powszedni. Jedni przyjeżdżali dobrowolnie, drugich przywożono pod eskortą i w kajdanach. Czasami ludzie wyrzekali się swej polskości, albo też starannie ją ukrywali. Jednak mimo wielkich przeciwności (upadek w 1831 roku powstania listopadowego, a w 1864 – styczniowego) polskość w tym mieście bujnie rozkwitała. Z biegiem lat pięknie rozwijało się polskie życie kulturalne, społeczne i religijne, aż do 1918 roku, kiedy to większość Polaków opuściła to miasto wracając do swojej Ojczyzny.

Nie w polityce, ale w nauce, w sztuce, w teatrze, a zwłaszcza w przemyśle zajmowali Polacy wybitne, a czasem nawet i kluczowe stanowiska. Uczciwie i sumiennie spełniali swoje obowiązki, pracowali wydajnie, czasami otrzymywali ordery i awanse. I chociaż działali, mówili i pisali po rosyjsku, jednak zawsze czuli się Polakami. Nie zapominali języka, nie zapominali o swojej przynależności narodowej i religijnej. Często finansowo pomagali różnym polskim instytucjom swoimi wpływami czy też współpracą, a także swoimi zapisami testamentowymi. I prawie wszyscy chcieli umierać w Polsce, na swej ojczystej ziemi.

Każdy z nich mógłby na pewno powtórzyć za wielkim malarzem Aleksandrem Orłowskim, członkiem Akademii Petersburskiej: „Kocham Polskę i Polaków”.



Petersburg, miasto nad Newą, fot. pixabay

Jakże barwne i ciekawe są dzieje i losy Polaków w Petersburgu. Jeśli weźmiemy do ręki np. Polski Słownik Biograficzny, to zobaczymy, przy jak wielu nazwiskach występuje nazwa Petersburg, jako miejsce nauki, pracy, gościnnych występów, czy też innej formy działalności. Piękną kartę stanowiła na przykład działalność Rzymskokatolickiego Towarzystwa Dobroczynnego przy kościele Św. Katarzyny, z niezapomnianą postacią ks.

Antoniego Małeckiego, późniejszego biskupa i syberyjskiego zesłańca. Jakże bolesne, wręcz tragiczne i pełne męczeństwa dla Kościoła w Piotrogradzie-Leningradzie i Polaków były czasy bolszewickiej dyktatury proletariatu, z męczennikiem rozstrzelanym w Moskwie na Łubiance ks. Konstantym Budkiewiczem i skazanym na śmierć Janem Cieplakiem oraz tysiącami tych, którzy dzisiaj spoczywają w braterskich mogiłach w Lewaszowie, na cmentarzu ofiar stalinowskich represji 1937-1954. I nie tylko tam. W okresie od 1939 do 1960 roku polscy więźniowie znaleźli się w wiosce Jogla obwodu Nowgorodskiego, w uroczysku Sandormoch w Karelii, w Kotlasię, w Workucie, na wyspach Solowieckich i w wielu innych miejscach.

Lewaszowo – to miejsce tajnego pochówku ofiar NKWD, które było czynne od sierpnia 1937 roku (tuż po rozkazie Jeżowa, po którym rozpoczęto masowe represje, zwłaszcza przeciwko Polakom) aż do roku 1954. Według oficjalnie podanych relacji tu leży 47 tys. zamordowanych, ludzi wielu narodowości i wyznań, najwięcej Rosjan, Polaków i Finów z Leningradu i Obwodu Leningradzkiego. Liczba Polaków wynosi około 4,5 tys., w tym zidentyfikowanych zaledwie 2 tys. Otwarcie cmentarza Lewaszowskiego odbyło się dopiero w roku 1989. Pojawiły się tutaj pomniki i krzyże. Polski pomnik w kształcie uchylonego krzyża z napisem po polsku i po rosyjsku:**„Wybaczamy i prosimy wybaczenie”** był ustawiony 30 października 1993 r.

Rekonstrukcja odbyła się w 1998 roku i do krzyża została dołączona kamienna tablica z orłem i napisem: **„Pamięci Polakom – ofiarom represji, rozstrzelanych w latach 1937-1938. Rodacy”.**

W wiosce Jogla od lipca 1942 aż po 1951 rok był czynny obóz N 270 NKWD, przeznaczony dla więźniów wojskowych i internowanych. Wśród nich byli Niemcy, Węgrzy, Austriacy, Włosi oraz przedstawiciele wielu innych narodowości. Byli tutaj i Polacy – internowani żołnierze polskiej Armii Krajowej. W styczniu 1946 roku ich liczba wynosiła 4230 osób, z której w rosyjskiej ziemi pozostało na zawsze około 500. Wszyscy oni cierpieli głód, dotykały ich choroby, wśród których najbardziej rozpowszechniona była gruźlica. Jeńców wykorzystywano przeważnie w kopalniach węgla brunatnego i w budownictwie. 4 sierpnia 1992 roku odbyło się upamiętnienie ofiar tego obozu i został postawiony 6-metrowy krzyż katolicki z napisem: „**Żołnierzom Armii Krajowej. Koledzy i Rodziny. Jogla”.** Tego samego dnia były odczytane modlitwy żałobne i ustawione krzyże na cmentarzach w Borowiczach, Szybotowie, Opocznie i Ustje.

Uroczyszcze Sandormoch koło Miedwiezjegorska było wykorzystywane jako miejsce mordu mieszkańców pobliskich okolic Karelii i więźniów Bielomoro-Baltyckiego obozu NKWD. (Od sierpnia 1937 do 24 grudnia 1938 roku

zamordowano tutaj około 10 tys. ludzi wielu narodowości, wśród nich 212 Polaków, w tym 23 księży). 27 października 1997 roku na cmentarzu Sandormoch ustawiono pierwsze upamiętniające znaki. Przy każdej z 250 morderczych jam postawiono kaplicę, a koło jednej z nich 4-metrowy krzyż katolicki z napisem: **„Polakom, którzy odnaleźli w tej ziemi wieczny spokój. Rodacy”.**

17 listopada 1995 roku w mieście Kotlas obwodu Archangelskiego zostały ustawione dwa krzyże i tablice pamiątkowe w miejscu dwóch braterskich mogił, poświęcone tym więźniom, którzy w latach 1931-1953 przeszli przez Kotlaslag i kotlaską zsyłkę. Wiadomo, ze zginęły tutaj tysiące ludzi różnych narodowości, natomiast liczba Polaków jest do tej pory nieustalona. Napis na tablicy pamiątkowej brzmi: **„Zamordowanym Polakom, Rosjanom i wszystkim innym, którzy leżą w tej ziemi: matkom, ojcom, siostrom, braciom, córkom, synom… Wieczne ukojenie. Wieczna pamięć. Rodacy z Polski. Warszawa. 1995 r.”.**

Workuta – to stolica GUŁAG-u. W samym mieście i jego okolicach od 1938 do 1960 roku znajdowało się ponad 50 obozów dla różnych grup jenieckich. Przez te obozy przeszły setki tysięcy ludzi, w tym tysiące Polaków, setki z tych tysięcy zostało tutaj na zawsze.

GUŁAG na wyspach Solowieckich. Represje wśród duchowieństwa katolickiego w Rosji bolszewickiej rozpoczęły się od razu po ustaleniu bolszewickiej władzy. Pierwsza ekipa katolików obrządku wschodniego była przywieziona na wyspy w 1924 roku. Pierwszy ksiądz katolicki – w roku 1926. W 1929 roku 23 księży było odizolowanych na wyspie Anzer, w roku 1932 ich było już tutaj 32, a w 1937 roku w obozie Solowieckim znajdowało się około 50 księży (większość narodowości niemieckiej).

W tym samym roku uchwałą osobnej trójki NKWD obwodu Leningradskiego 33 z nich rozstrzelano. Na wyspach Solowieckich w przyszłości planuje się ustawić krzyż dla upamiętnienia zamordowanych.

W Murmańsku na jednym z cmentarzy znajdują się cztery mogiły polskich marynarzy. W latach 1942-44 pełnili oni obowiązki konwoju wojskowego na polskich statkach, broniąc alianckich statków, dostarczających ZSSR broń i żywność. W 1989 roku powstał tu pomnik. Napis w języku polskim brzmi: **„W 50-tą rocznicę wybuchu II wojny światowej w hołdzie marynarzom polskim, poległym w konwojach do Murmańska. Rodacy”** oraz **„Przechodniu powiedz Polsce, żeś widział nas tutaj leżących, gdyśmy świętym jej prawom posłusznym będąc – polegli”.**



Dawny Petersburg

Od tego tragicznego czasu minęło 75 lat, wiele zmieniło się na tym świecie.

I właśnie teraz powstaje pytanie – jak traktować dzisiaj polski Petersburg? Jaka jego jest skala i jakie jego znaczenie w życiu społecznym? Można szukać w każdym domu na Newskim Prospekcie polskich śladów, a inżynierów i architektów Petersburga z polskimi nazwiskami traktować jako Polaków. Do tej pory nie usystematyzowano tych informacji. Kiedy jednak sięga się do regularnego, informacyjno-analitycznego medium albo, encyklopedii elektronicznej, rezultat bezpośrednio zaczyna

zależeć od „miejsca montowania” i „optyki”.

Jakie zatem parametry należy wziąć za podstawę dla określenia „polski”? Antropologię (język, wyznanie), może psychologię (samoidentyfikacja), a może politykę (obywatelstwo, służba państwowa) czy może geografię (miejsce urodzenia lub zamieszkania)? Przymiotnik “polski” w języku rosyjskim nie uwzględnia czasowych, przestrzeni tych lub innych cech, właściwych kategorii kwalitatywnych przymiotników, chociaż zawsze je ujawnia. Między innymi z przymiotnikiem „rosyjski” historia jest taka sama. Kiedyś był „ruskim” – stał się „polskim”. Na przykład, petersburski architekt Marian Marianowicz Peretiatkowicz (1872-1916) we wszystkich rosyjskich źródłach był „rosyjskim budowniczym i teoretykiem urbanistyki”, natomiast w Polsce – to polski architekt, w ewentualnie „rosyjski architekt polskiego pochodzenia”. Przejście z rosyjskiego stanu na polski jest widoczne też u innego wybitnego petersburskiego architekta, twórcy polskiego modemu Mariana Stanisławowicza Lalewicza (1876-1944). Jednak z tym twórcą jest prościej: on doczekał się odrodzenia II Rzeczpospolitej i w końcu 1918 roku przeniósł się z Petersburga do Warszawy, zmienił obywatelstwo, tak więc teraz w obu państwach występuje jako „rosyjski i polski architekt”. We współczesnej samoidentyfikacji dość często występuje taka sama sytuacja nieokreśloności – nie tak, jak i nie, dokładnie i tak i nie.

– Pan jest Polakiem? – zapytał się pewnego razu dyrektora Ermitażu Michała Piotrowskiego Adam Michnik. – Mój dziadek był katolikiem – odpowiedział Michnikowi pan dyrektor. Jak widzimy i dzisiaj to co dotyczy “polskiego Petersburga” powtarza się tak samo, jak i za czasów ostatniego imperium.



Petersburg na dawnej pocztówce

Dlatego najbardziej prawidłowym byłoby opowiadać o „polskim Petersburgu” w nowoczesnej, przestrzennej paradygmie, z opisaniem fal migracyjnych i ich wpływu na modernizację przestrzeni miasta w porównywalnej perspektywie. 100 lat temu

polska obecność na newskich brzegach była dość znacząca: w 1897 roku w Petersburgu mieszkało więcej jak 36 tys. Polaków (3% obywateli, trzecie miejsce po Rosjanach i Niemcach), istniały trzy polskie banki, drukowano gazety w języku polskim za środki pieniężne reklamodawców i ze składek zamożnych petersburskich Polaków. Polacy nad Newą okazali się najbardziej mobilną grupą, co szczególnie stało się widocznym na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to z Polski do stolicy imperium przyjeżdżało tysiące młodych, ambitnych ludzi, aby tutaj studiować, robić karierę albo… rewolucję. Inżynierowie, lekarze, lotnicy, lingwiści, muzycy, adwokaci, urzędnicy z polskimi korzeniami byli pożądani w części wykształconego środowiska miasta, rywalizowali z Niemcami, mimo, że dość często z nimi przegrywali. Jeżeli przypomnieć Polaków – jeńców petersburskich więzień oraz priorytet policji politycznej dotyczącej wrogów wewnętrznych (Polacy na pierwszym miejscu przed Żydami i studentami), to otrzymamy pełną charakterystykę polskich protokołów migracyjnych w stolicy Rosji na początku XX wieku. Poza tym Polacy petersburscy byli liderami samoorganizacji: co najmniej trzydzieści organizacji sportowych, studenckich, religijno-filozoficznych i innych polskich stowarzyszeń zarejestrowano tutaj po 1905 roku. W odróżnieniu od Moskwy, Petersburg był najbardziej polskim miastem w Rosyjskim Imperium. Nawet ci, którzy przyjechali tutaj wbrew swojej woli, jak na przykład Adam Mickiewicz, czy Stanisław Witkiewicz, zostawali natchnieni skalą możliwości i zaczynali

wierzyć w siebie.

Powstanie II Rzeczypospolitej spowodowało polskie przesiedlenia z Petersburga. Repatriacja, wojny, emigracja, ale przede wszystkim strach i asymilacja doprowadziły do tego, że dzisiaj w 5,5 milionowym Petersburgu tylko 2,5 tys. mieszkańców uważa się za Polaków (według spisu ludności z 2010 roku) i jeszcze trochę w obwodzie leningradzkim. Dzisiejsza skala petersburskiej Polonii – narodowościowa mniejszość tego miasta, zajmuje 20 miejsce i wygląda szczególnie kontrastowo na tle, powiedzmy, współczesnego Londynu, gdzie zamieszkuje 200 tys. Polaków, czyli 4,2 razy więcej, aniżeli dzisiaj w całej Rosji, czy też stołecznego regionu Paryża Il-de-Frans, gdzie osiedliło się ok. 40 tys. Polaków. W XXI wieku Polacy nadal zachowują swoją mobilność, tylko bardzo rzadko wybierają Petersburg jako swoje miasto i miejsce do osiedlenia się i samorealizacji. Chociaż niektórzy w Polsce nadal uważają Petersburg, za swoją straconą stolicę.

Cóż więc zostało z tamtych czasów? Polska nadal istnieje w petersburskiej toponomice. Polski ogród przeżył rekonstrukcje, tylko wejście do niego stało się płatne. Ulica Warszawska biegnie w tym samym kierunku, w którym biegła tutaj kiedyś stara Warszawska kolej. Dworzec kolejowy, który nazywa się Warszawski, w 2001 roku został przekształcony w targowy kompleks pod nazwa “Ekspres Warszawski”, natomiast zrobić z

niego drugie Muzeum d'Orsey, niestety, nie udało się. Ulica Kościuszki, nazwana tak pół wieku temu, została nadal ulicą Kościuszki. Restauracja „Wisła", która była otwarta jeszcze za Sowietów, tak naprawdę nigdy polską nie była, a obecnie stała się zwykłą kawiarnią. Już dawno został zamknięty bardzo popularny polski sklep kosmetyczny „Wanda" w domu № 111 przy Newskim Prospekcie, chociaż tę nazwę nadal daje się petersburskim sklepom – kwiaciarniom, różnego rodzaju butikom z odzieżą dla kobiet i perfumeriom, tylko że import tych artykułów z Polski jest znikomy, jeżeli nie powiedzieć zerowy. Anegdotkę o Prospekcie Solidarności dzisiaj przypominają rzadko. Ów prospekt pojawił się w nowej sypialnianej dzielnicy na prawym brzegu Newy w 1971 roku, a po 13 grudnia 1981 w leningradzkim folklorze pojawiła się taka anegdotka:

"Urząd miasta postanowił przemianować prospekt Solidarności na ślepy zaułek Jaruzelskiego".



Petersburg na dawnej pocztówce

Nowe polskie nazwiska przez ostatnie 25 lat nie pojawiły się: ulicy Mickiewicza nadal nie ma, zresztą ulicy Mandelsztama tak samo. Pojawiło się popiersie Mickiewicza, jeszcze w 2007 roku koło jedynej w Rosji polskiej szkoły w Grafskim zaułku, która niestety od niedawna przestała być polska. Co jeszcze? Jak się okazało, współcześni polscy architekci bezwiednie biorą udział w obecnym budownictwie tutaj w Petersburgu, lub w jego okolicach, czego się nie afiszuje, ale na przykład nowy gmach lotniska "Pułkowo" bardzo przypomina lotnisko Fryderyka Chopina w Warszawie.

Wywołuje to pewne zdziwienie, ale obecnie w trzech

petersburskich teatrach wystawiają sztukę Leonida Zorina "Warszawska melodia". Ta popularna sztuka jest grana chyba od 50-ciu lat, jeżeli się nie mylę, od 1967 roku, czyli od czasu, kiedy mieszkańcy Związku Radzieckiego ogólnie interesowali się polskim teatrem i kinem. Można przypuścić, że to zainteresowanie opiera się na polskim kontekście: Warszawa, polska dziewczyna Hela, możliwość śpiewania na scenie piosenek Ewy Demarczyk i Sławy Przebylskiej. I wcale nie chodzi tu o trafne oddanie ludzkich stosunków poprzez przestrzenne, polityczne oraz mentalne granice.

W Petersburgu mieszka – bo ma żonę Rosjankę – i działa polski reżyser Andrzej Bubien, który wystawia bardzo ciekawe spektakle. W jego spektaklach grają też polscy aktorzy, którzy ukończyli tutaj studia artystyczne. Przed rosyjską agresją na Ukrainie lubił przyjeżdżać do Petersburga Krystian Lupa i Daniel Olbrychski, ale w ostatnich latach ich tutaj nie widzimy. Utworzone jeszcze za czasów radzieckich stowarzyszenia wzajemnej przyjaźni zniknęły bez śladu. W czasach „pierestrojki" Polacy (według spisu z 1989 roku było nas ok. 8 tys., czyli 9-te miejsce wśród mniejszości narodowych) byli liderami w kręgu wspólnot nacjonalnych. W Petersburgu powstało Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie „Polonia", które zaczęło starać się o powrót kościelnych domów i pomieszczeń, o odrodzenie polskiej szkoły, zaczęło drukować też biuletyn. W 2007 roku w obecności prezydentowej Marii Kaczyńskiej,

Ludmiły Putinej i byłego gubernatora miasta – Walentyny Matwijenko został otwarty Dom Polski w zaułku Sapiornym, niedaleko od Generalnego Konsulatu USA. Zajmuje parter dużego domu i jest własnością Polski. Tutaj mieszczą się Stowarzyszenia „Polonia", „Związek Polaków imienia Antoniego Małeckiego", jedyne na całą Rosję wydawnictwo „Gazety Petersburskiej", biblioteka z dużą ilością polskich książek, no i jeszcze odbywają się tu kursy języka polskiego. W 2010 roku bibliotece zostało nadano imię Rajmunda Piotrowskiego, wybitnego petersburskiego lingwisty i pierwszego prezesa „Polonii". Oczywiście, że zasadniczo głównymi autorami i organizatorami są Generalny Konsulat RP w Petersburgu, Instytut Polski no i jeszcze parę lat temu był Wydział Handlu i Inwestycji, ale w ostatnich latach polski biznes wycofał się z rynku rosyjskiego. Dom Polski też jest tymczasowo zamknięty z tego samego powodu. To co mamy na dzień dzisiejszy, czym żyjemy obecnie, to wszystko można wyliczyć na palcach jednej ręki – chociaż nadal odbywają się wystawy książki polskiej, fotogalerie, konkursy, festiwale filmowe (tygodnie kina polskiego) oraz różnego rodzaju konferencje i dyskusje.

Na tym tle szczególne znaczenie mają samodzielne poczynania, które nadchodzą z zewnątrz. Na przykład pewien polski wielbiciel tanga Krzysztof Marczyńczyk zaczął wydawać tutaj gazetę pod nazwą "Tango. Sankt-Petersburg". Niejaki Walery Pisigin na swój koszt wydał książkę "Biesiady polityczne. Polska

1989”, a piłkarze klubu “Ingrija” zorganizowali „fleszmob” z czytaniem wierszy Zdzisława Dembickiego.

Nie ma ich w pejzażu petersburskim, ale proszą się na świat – moim zdaniem – takie obiekty jak restauracja polska, sklep książki polskiej, polska galeria itd. Ale dopóki tego wszystkiego jeszcze nie ma, to jeżeli dobrze pogrzebać w rodowodzie prawie każdego z moich rosyjskich znajomych, można odnaleźć polską babcie, polskiego pradziadka, polskiego wujka, tak że pracy w opisywaniu współczesnego “polskiego Petersburga” na długo wystarczy.

Jerzy Downar ma opracowany program muzyczno-patriotyczny, z gitarą, na tle wyświetlanych na ekranie fragmentów starych kronik, fotografii, szyldów itd. Będzie można się z nim spotkać podczas wieczoru artystycznego w poniedziałek 27 stycznia 2020 r. w Lublinie, w Domu Kultury LSM. Chętnych serdecznie zapraszamy.

Redakcja

Program artystyczny Jerzego Downara:

https://www.youtube.com/watch?v=PzTIPO6xots